



CIEKAWE
GAWĘDY MACIEJA GRZĘDY.

1911



94060

CIEKAW E.

Gawędy Macieja Grzędy

Z RÓŻNYMI LUDŹMI
O RÓŻNYCH POLSKO-
AMERYKAŃSKICH
SPRAWACH.

~~~~~

Podszuchał i spisał  
AJOTES.

~~~~~

[Toledo, Ohio;
A. A. Bonupka]

1911

Biblioteka Jagiellońska



1000602929

BIBLIOTHECA
VNIV. IAGIELLONENSIS
CRACOVIENSIS

B 270655

I

2N



Szymon Deptuła
emigrant z Polski
w darze
Bibliotece
Jagiellonskiej

Bibl. Jagiell.

2002 D

106/148

Był zmierzch. Maciej Grzęda, majner w jednej z kopalń węgla w Pensylwanii, wcześniej dziś ukończył szychbę, a powróciwszy do domu, zrzucił robocze czarne ubranie, umył się, przebrał i jak to było jego codziennym zwyczajem, zakurzywszy fajeczkę, zabrał się do czytania książek, których miał spory zapas w oszklonej szafie, stojącej w jednym z kątów obszernej, skromnie ale gustownie umeblowanej izby.

Ledwie usiadł przy stole i roztworzył książkę w miejscu, które poprzedniego dnia był sobie zaznaczył, ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę — zawołał Maciej, z pewnego rodzaju nieukontentowaniem, że mu przeszkadzają w ulubionej rozrywce. Do izby wszedł młody, średniego wzrostu mężczyzna z walizką w ręku.

— Dobry wieczór — pozdrowił gospodarza.

— Dobry wieczór — odpowiedział Maciej. — Proszę bliżej, a co tam nowego?

— Jestem agentem najlepszej polskiej gazety w Ameryce... zaczął przybyły.

— Aha, pewnie "Ameryki-Echa" — przerwał mu Maciej. — Dobrze, żeś pan przyszedł, bo już mi w tych dniach prenumerata wychodzi i właśnie jutro miałem pieniądze wysłać wprost do redakcyi, a tak to i na przesyłce oszczędzę i premię sobie zaraz wybiorę, no i pan coś zarobi.

— Ależ ja nie jestem agentem "Ameryki-Echa," lecz socjalistycznej gazety, która jest prawdziwą przyjaciółką i doradczynią każdego robotnika i dlatego każdy robotnik powinien ją utrzymywać i popierać, bo ona broni klasę robotniczą przed wyzyskiem i uciskiem kapitalizmu, walczy o robotnicze prawa, dąży do zmiany stosunków ekonomicznych i społecznych. Dziwię się, że wy, będąc robotnikiem, zamiast popierać nasze pismo, utrzymujecie i popieracie "Amerykę-Echo." Przecież wydawca tego pisma, to największy wyzyskiwacz robotników, to groszorb, humbugier i blagier pierwszej klasy, który tylko tumani ludzi, żeby zedrzeć z nich jak najwięcej grosza. To wróg socjalizmu, a tem samem i klasy robotniczej....

— Ho, ho, ho — przerwał Maciej. —

Jak widzę, to z pana wielki nieprzyjaciel Paryskiego. Musiał on panu kiedyś dobrze gorącego sadła zalać za skórę, kiedy go tak na czarno malujesz, a jego gazetę potępiasz.

— Osobiście Paryski nic mi złego nie zrobił, ale jego działalność jako wydawcy jest szkodliwą dla społeczeństwa; on sam jest fałszywym, przewrotnym, chciwym, człowiekiem bez zasad, przebrzydłym samochwalcą, który w każdym numerze swego pisma tak siebie jak i swą gazetę wychwala aż do obrzydliwości, choć ta jego gazeta jest bezbarwną, bez stałych zasad, ot poprostu ogromna szmata, imponująca rozmiarem, a nie treścią....

— Czekaj pan, czekaj, bo tyle naraz nagadałeś na Paryskiego i jego gazetę, że nie tylko na wszystko odpowiedzieć, ale nawet wszystkiego spamiętać nie mogę. Ot, wiesz pan co? Jeśli panu nie pilno, siądź pan tu obok mnie a pogawędzimy sobie chwilkę i o Paryskim i o socyalistach i o jego i o waszem piśmie. Ja co prawda czytam "Amerykę-Echo" już od ośmiu lat i miałem ją dotychczas za najlepsze pismo polskie w Ameryce, a Paryskiego za uczciwego i sumiennego człowieka, ale jak mię pan przekonasz, że jest takim, jakim go

odmalowałeś, a wasza socjalistyczna gazeta jest lepszą od "Ameryki-Echa", toć przecie każdy woli to, co lepsze, więc i ja porzucę "Amerykę-Echo", a zapiszę gazetę od pana.

Gdy agent socjalistycznego pisma usłuchał wezwania i postawiwszy w kącie walizkę usiadł obok Macieja, ten zaczął w te słowa:

— Widzisz pan, czytałem w "Ameryce-Echu" nieraz życiorys Paryskiego, jak to on przybył do Ameryki, jak z początku ciężko pracował na farmie, jak się uczył wieczorami, jak redagował różne pisma, aż wreszcie założył własne, i jak pracą i oszczędnością doszedł do tego, co dziś ma. Czyżby to, co Paryski o sobie pisał było nieprawdą, czyżby on się tylko chwalił? Czy może przez jaki szwindel, w jaki nieuczciwy sposób przyszedł do zamożności?

— No, tego o nim powiedzieć nie mogę. Że się dorabiał o własnych siłach i w uczciwy sposób to prawda, ale nie jest on już dziś takim, jakim był na początku swojej kariery. Dawniej sam był socjalistą, gardłował za sprawą robotniczą, a dziś zwalcza socjalizm, bo sam jest takim kapitalistą, takim wyzyskiwaczem robotników jak

Rockefeller, Morgan i inne pijawki roboczego ludu.

— Żeby Paryski w swojej gazecie zwalczał socjalizm, tego pan nie mów, bo on wogóle żadnej partyi ani nie pochwała ani nie potępia. A co do wyzysku, to jak to pan rozumie, kogo on właściwie wyzyskuje; czy swoich robotników, czy swoich czytelników?

— I jednych i drugich. Robotników, bo im nie płaci tyle, ile im płacić powinien, a czytelników, bo ich nie uświadamia tak jak uświadamiać powinien. Da im co prawda co tydzień masę zadrukowanej bibuły, ale w tej bibule, zamiast piętnować kapitalistów, zamiast namawiać ogół do łączenia się z partyą socjalistyczną, on zamieszcza jakieś bezbarwne artykuły, wiadomości, katalogi, ogłoszenia, czasem jakiś wierszyk, ot i wszystko. Co innego nasze pismo. W każdym numerze rzniemy kapitalistów na funty, rzniemy księży, rzniemy patryotów, nie przepuszczamy związkowcom, ani zjednoczeńcom, słowem nikomu.

— Ano, to widać, że wasze pismo takie tylko od rznienia, ale nie każdy lubi takie generalne rznienie, które zresztą nikogo ani naprawi, ani pouczy. Ja sam takiego rznie-

cia nie lubię i przyznam się panu, że "Ameryka-Echo" właśnie z tego mi się podoba, że nikomu nie wymyśla, ale traktuje rzeczy poważnie. "Ameryka-Echo" to nie wrzaskliwa przekupka, która w przystępie złego humoru klnie i łaje po grubiańsku, każdego bez wyjątku, kto się jej tylko nie podoba; jabym ją porównał do poważnego nauczyciela, który wytyka i karci wszelkie nadużycia, bez względu na osoby i stanowiska, jakie te osoby zajmują, ale karci nie dlatego, że tam ktoś nie jest jednego z nim zdania, tylko dla tego, że ta osoba rzeczywiście popełniła nadużycie, albo jakiś czyn przynoszący szkodę społeczeństwu. Paryski broni pokrzywdzonych, bez względu na to, kto oni są, a broni ich bezinteresownie, dlatego tylko, że wie, iż im się dzieje krzywda, podczas gdy wy staracie się w każdego robotnika wmawiać, że jest krzywdzonym, czyli poprostu powiedziawszy szukacie dziury choćby i w całym, byle tylko mieć pretekst do wymysłów na tych, którzy wam się nie podobają. A nie czynicie tego bezinteresownie, owszem każecie sobie za tę nieproszoną a często bezcelową obronę płacić, ściągacie za nią haracz od robotników w formie datków na propagandę socjalistyczną, z których to datków żyją i to

dobrze żyją, apostołowie waszej partii. I tu właśnie jest wielka różnica między wami a Paryskim.

U was wszystko złe, co nie idzie ręką w rękę z socjalizmem, u "Ameryki-Echa" wszystko dobre, co jest z pożytkiem dla ludzkości. Waszem pismem kieruje nienawiść, "Ameryką-Echem," tolerancya. Wy w każdym niesocjaliście widzicie wroga, Paryski w każdym uczciwym człowieku pożyteczną jednostkę ludzkiego społeczeństwa. Wy chcecie przemocą, terroryzmem, zreformować cały ustrój społeczny, Paryski dąży do tego samego celu, ale odmiennym, łagodniejszym i pewniejszym środkiem — oświatą.

Żeby artykuły zamieszczane w "Ameryce-Echu" były bezbarwne, temu nie wierzę, bo je sam czytuję co tydzień i widzę, że w każdym z nich jest coś takiego, co człowieka poucza i rozjaśnia jego umysł.

Mówiłeś pan, że Paryski jest człowiekiem bez zasad, bez przekonań. I w tem się Pan mylisz. On ma swoje przekonania, tylko nie narzuca ich nikomu przemocą tak jak wy. Paryski to poważny szanujący i siebie i swych klientów kupiec, który rozkłada przed odbiorcami różne towary, ani je ganiąc ani je zbytńio zachwalając; ocenę do-

broci towarów pozostawia swoim odbiorcom. On tylko daje im wskazówki, jak się poznać na dobroci i gatunku towaru, i to właśnie czyni jego pismo poczytnem, bo on nie narzuca czytelnikom swoich przekonań, tylko ich uświadamia jak i w czem mają wybierać co pożyteczne, co bez wartości, a co znowu wprost szkodliwe. Wy przeciwnie, jak nieprzymierzając w starym kraju żydowscy przekupnie, niejako za poły chwytaacie przechodniów i przemocą chcecie ich wciągać do waszego socjalistycznego kramu, żeby nabywali towar bez względu na jego wartość, ganiąc równocześnie towary swoich sąsiadów, dlatego właśnie, że do nich, a nie do was należą.

O wyzysku czytelników ze strony Paryskiego nie może więc być mowy i pod tym względem nie przyznaję Panu słuszności. Jeśli ktoś komuś za pewną umówioną cenę daje taką ilość towaru i takiej jakości, jaką obiecuje, tam ani o oszustwie, ani o wyzysku nie może być mowy. Na tym więc punkcie pobiłem pana. A teraz powiedz mi pan, w jaki sposób Paryski wyzyskuje swoich robotników?

— W taki, że, jak już powiedziałem, nie płaci im tyle, ile płacić powinien.

— Hm, Bardzo pan to niejasno powie-

działeś, bo to bardzo względne jakie ceny Paryski płacić powinien, a jakie płaci. Zależne to przecie tak od jego zysków i dochodów, jak i od wydajności pracy robotników.

— Gdyby Paryski był dobrym pracodawcą, to powinien płacić swym robotnikom ceny unijne, a on ani połowę tych cen im nie płaci.

— E, ceny unijne, ceny unijne. Łatwo to da się powiedzieć: płacić ceny unijne, ale czy za te ceny unijne dostanie się zawsze pracę unijną? Gdyby to jeszcze Paryski miał takie dochody, jak mają angielskie gazety, to nie mówię....

— Jakto, on nie ma dochodów? A za co stawia takie ogromne budynki, sprowadza wciąż nowe maszyny, przyjmuje coraz to więcej robotników, wydaje coraz to nowe książki i z każdym niemal rokiem powiększa gazetę? Ho, ho, gdyby on nie miał dochodów, toby się tak nie rozbijał.

— To mówisz pan, że się rozbija? Pewnie żyje sobie jak milioner, spija szampany, jeździ automobilem, ubiera żonę w brylanty, a może i za kulisy teatralne zagląda?

— On, ten kutwa? On żyje gorzej od niejednego robotnika. Nie pali, nie pije,

tylko siedzi jak mól cały dzień w ofisie przy biurku.

— No, no, a ja myślałem, że używa jak pączek w maśle. Ale kiedy taki kutwa, to musi mieć już pewnie krocie w bankach.

— Gdzie tam! Wszystek dochód pakuje w drukarnię, ciągle powiększa i ulepsza business.

— A widzisz pan, teraz pana złapałem. Jak Paryski żyje, wiedziałem to od jego agenta, który co roku do mnie przychodzi, ale pytałem się pana naumyślnie, żeby mu dowieść, iż niesłusznie zarzucasz Paryskiemu wyzysk.

Biorąc mu za złe budowę olbrzymich budynków drukarskich, o których słyszałem, że są wygodne, jasne, dobrze ogrzewane i przewietrzane, wy socjaliści jesteście w sprzeczności sami z sobą. Przecież w waszych pismach wymyślacie ciągle fabrykantom, że każą pracować robotnikom w ciemnych, ciasnych, stęchłym powietrzem przepelnionych fabrykach, rujnując ich zdrowie, a tu znów wieszacie psy na Paryskiego za to, że sam żyjąc oszczędnie stara się, żeby jego pracownicy pracowali w jak najkorzystniejszych warunkach higienicznych. No i jak to jedno z drugim pogodzić? Zresztą jeszcze z innego względu

pochwalam te wielkie budowle Paryskiego. Im jaki szap obszerniejszy, tem większy w nim ład lepiej i dokładniej może być wykonywana praca. W małej ciasnej kuchni kucharka nie może ugotować obiadu na większą ilość osób, a jeśli go i spitrasi z pewnością i nie na oznaczoną godzinę i nie tak jak należy. Niema bowiem ani gdzie odpowiedniej liczby garnków postawić, ani gdzie ciasta zagnieść, ani statków umyć, namęczy się tylko, namartwi i mimo najszerszej chęci potraw jak należy nie przyrządzi. Tak samo i z każdą fabryką, a szczególnie z drukarnią. Obszerny i wygodny budynek ułatwia pracę i czyni ją wydatniejszą, nie mówiąc już o oszczędności czasu.

— E, jak widzę, to Paryski ma w panu gorliwego obrońcę. Może i to weźmiesz mu pan za zasługę, że karmi naród taką literacką strawą jak "Piękna Meluzyna," "Genowefa," "Historja o Grzegorzu" i wiele innych podobnych bajd, jakie tyśiacami sprzedaje głupim chłopom.

— Żebyś pan wiedział, że mu to poczytuję za zasługę, a dlaczego, to zaraz panu powiem.

Gdy przed ośmiu laty przyjechałem do Ameryki, umiałem zaledwie tyle czytać, co

na książce do nabożeństwa. W kraju książki były drogie, a zarobki małe, to i niestać było robotnika na książki. Jakoś w kilka miesięcy przyszedł do mnie agent "Ameryki-Echa" i namówił mię na gazetę. Bogiem a prawdą powiedziawszy nie miałem ochoty jej zapisywać, tylko moja stara powiada: "Weź, gazeta duża, trochę się z niej poczyta, a reszta zda się na policę."

No i wzięłem. W premii, pamiętam jak dziś, agent dał mi właśnie tę przez pana wyśmiewaną "Genowefę." Jakoś raz wieczorem zacząłem ją mojej starej czytać na głos. Historia ta podobała nam się obojgu, więc wybrałem z katalogu, nie pamiętam już dziś jaką książkę, i sprowadziłem ją od Paryskiego ale tej nie mogliśmy dobrze zrozumieć, a że i w "Ameryce-Echu" nie rozumieliśmy wtedy wszystkiego co tam było drukowane, to też i chęć do czytania nas odbiegła, tak, że na drugi rok już nie chcieliśmy gazety. Ale jak nas agent zaczął namawiać i jak się dowiedział co było przyczyną naszego zniechęcenia, tak sam nam pozakreślał różne książki w katalogu, zaręczając, że nam się będą podobały, no i zapisaliśmy "Amerykę-Echo" na drugi rok. Agent wiedział jakie dla nas książki są odpowiednie, bo te wszystkie, które nam

pozakreślał przeczytaliśmy jedna po drugiej i wszystkie nam się podobały, a co ważniejsza na tych to jak pan nazywasz bajdach nie tylko przyzwyczailiśmy się do czytania, ale i pojęcia nasze się rozszerzyły tak, że dziś rozumiemy już dzieła i poważniejszych treści. Te bajdy były niejako dla nas abecadłem, które poznawszy, zaczęliśmy sylabizować na księdze literatury, a dziś nie chwając się już nawet nieźle z tej książki czytamy. Nie obcy nam już ni Sienkiewicz, ni Kraszewski, ni Rodziewiczówna, o których dawniej aniśmy słyszeli ani byśmy ich zrozumieć mogli. A czyja to zasługa jak nie Paryskiego? Zresztą mój panie, takie bajdy są o wiele niewinniejsze od przez was rozpowszechnianej i ogłaszanej "Barbary Ubryk" i wielu innych podobnych książek, które tylko uczą nienawiści, a są o wiele droższe od książek wydawanych przez Paryskiego. Weźmy choćby takie "poezye," wasza cena za tę książeczkę nieoprawną jest siedmdziesiąt pięć centów, a Paryski sprzedaje te same książeczki oprawne po dwadzieścia pięć centów. Ta znaczna różnica cen książek waszych a Paryskiego jest również jednym z powodów waszej ku niemu nienawiści. Nie możecie mu tego darować, że on daje

ludowi dobre i tanie książki, podczas gdy wy, rzekomi obrońcy tego ludu, drzecie zeń skórę, każąc sobie płacić wygórowane ceny, byle tylko zasilić swą kasę agitacyjną, z której jak już powiedziałem, żyje wiele pasorzytów socjalistycznych.

— Trudno bo widzę będzie pana przekonać, boś, się pan zaślepił w "Ameryce-Echu" i jego wydawcy i nie dasz się pan przekonać, ale ja nie przestanę twierdzić, że Paryski jest taki sam wyzyskiwacz kapitalistyczny jak inni.

— Ha no, na upór nie ma lekarstwa, ani pan mnie ani ja pana nie przekonam, wypowiem jednak moje zdanie otwarcie, że ten wyzyskiwacz, jak go pan nazywasz, Paryski jest właściwie tylko zarządcą całego wydawnictwa a robotnicy i czytelnicy "Ameryki-Echa" są jego współnikami.

— Cha, cha, cha. A to mi ładna spółka, gdzie jeden rozkazuje i rządzi a tysiące muszą go słuchać i płacić za to, co jemu podobna się nabazgrać.

— Znowu pan nie masz słuszności, bo nie Paryski rządzi swoim a raczej naszym wydawnictwem, ale my sami niem rządzimy.

— Jak to?

— Ano tak, bo gdyby on chciał pisać według swego upodobania tylko, a nie tak,

jak my jego spółnicy t. j. czytelnicy "Ameryki-Echa" chcemy, to byśmy jego gazety nie brali, niechby ją sobie sam drukował i sam czytał, ale że on tak pisze jak nam się podoba, to też co roku ma więcej współników t. j. abonentów, co roku zatrudnia więcej pracowników, ulepsza gazetę więc i my za swoje dwudolarowe roczne akcje mamy większą dywidendę czyli procent w zwiększonym formacie gazety.

— Tak, procent, a gdzie wasz kapitał; kto panu zwróci te szesnaście dolarów, jakie pan przez ośm lat zapłacił za "Amerykę-Echo".

— Połowę tego kapitału t. j. premię mam tu w tej szafie a drugą połowę, która ma dla mnie ogromną wartość i nazywa się oświatą, mam tu oto w mej głowie. To, że dziś jaśniej patrzę na świat i pojmuję rzeczy, o których pierwaj nie miałem najmniejszego wyobrażenia, zawdzięczam Paryskiego gazecie i przez niego wydawanym książkom.

— Wytłómaczyłeś pan stosunek czytelników "Ameryki-Echa" do całego wydawnictwa zowiąc ich współnikami; niech i tak będzie, ale na jakiej podstawie zowiesz pan pracowników Paryskiego jego współnikami?

— Na podstawie czysto businessowej, nie mówiąc już nic o łączniku moralnym jaki istnieje pomiędzy nimi a ich pracodawcą. Ten łącznik moralny pominę tu milczeniem, bo wy, panowie socjaliści nie chcecie go zrozumieć i wyśmialibyście go jako dziecinny, niepraktyczny, wprost śmieszny sentymentalizm.

Otóż widzisz pan im bardziej interes Paryskiego się rozwija, tem lepiej płaci on swoich robotników, a jak pan sam powiedziałaś i więcej ich zatrudnia. I tu, musisz pan sam przyznać, że postępuje w myśl waszych zasad, bo i wy, starając się i agitując za ośmiogodzinnym dniem pracy, mieliście na celu nietylko większy odpoczynek dla robotnika, ale także i to, żeby przez skrócenie czasu pracy, fabrykanci byli zmuszeni zatrudniać większą ilość rąk roboczych. Jeśli więc robotnik sumienny pracuje dla Paryskiego uczciwie i tym samym przyczynia się do rozwoju i wzrostu wydawnictwa, to nietylko, że polepsza swój własny byt, bo ma prawo upomnieć się o podwyżkę zapłaty, ale zarazem przygotowuje teren pracy dla większej ilości robotników.

— Ho, ho, ho! Musiałby robotnik długo

czekać, nimby się doczekał u Paryskiego podwyżki płacy.

— Tu znowu mijasz się pan z prawdą. Słyszałem od agenta "Ameryki-Echa," że pracuje tam wielu robotników, którzy przed laty pobierali zaledwie po kilka dolarów tygodniowo, a dziś ze wzrostem wydawnictwa i płaca ich wzrosła i to tak, że mają wcale przyzwoite utrzymanie i nie narzekają.

— Nie narzekają? Toć pan chyba nie słyszał, wielu to robotników odchodzi od niego i co o nim potem piszą po różnych gazetach.

— Owszem, słyszałem, ale słyszałem również i to, że ci którzy odeszli, to wszyscy z waszej socyalistycznej sfory malkontenci, wiecznie niezadowolone duchy, albo przez nich podmówione, łatwowierne jednostki. Że zaś teraz wymyślają na Paryskiego nie w różnych, ale w waszej gazecie, to i o tem słyszałem, ale się temu nie dziwię, bo to zwykły u was rzeczy porządek, żeby psy wieszać na tych, u których się chleb jadło. Powiem panu jeszcze kto odszedł a raczej kogo Paryski odprawił ze swojej drukarni, bo sprawę tę, jako moralny a poczęści i finansowy wspólnik wydawnictwa uważnie

badalem. Oto Paryski oddalił takich robotników, którzy byli niezdolni do pracy, a raczej których praca Paryskiemu się nie opłacała. Mógłbym panu tu nawet wymienić nazwiska tych pracowników. Ot jeden z nich pobierał u Paryskiego trzydzieści dolarów tygodniowo, ale i tego było mu za mało, jeszcze chciał więcej, a gdy Paryski nie chciał mu już podwyższyć, sam odszedł i teraz pracuje przy innej gazecie **wiesz pan za ile?** Oto za dwanaście dolarów tygodniowo. Drugi brał u Paryskiego dwanaście dolarów tygodniowo, a gdy odszedł, bo mu ta płaca zdawała się za małą, teraz w angielskiej drukarni bierze tylko ośm. No i ci zamiast narzekać sami na siebie, narzekają teraz na Paryskiego i wymyślają nań co się zmieści, choć u niego wydoskonalili się w swym zawodzie.

Wdzięczność, to bardzo dziś rzadka rzecz na świecie, a u socjalistów to już jej wcale nie szukaj.

— A za cóż ma mu kto być wdzięcznym? A to dobre. Pracowali dla niego, on im płacił, więc cóż tu mówić o jakiej wdzięczności.

Ale to mi pan przyznaj, że niejednemu z byłych swych pracowników

Paryski podał rękę, gdy przybył z kraju, malutki, pokorny, często bez portek za przeproszeniem na tyłku, więc taki odchodząc od pracy, jeśli już nie poczuwa się do wdzięczności, to przynajmniej nie powinien go czernić i obmawiać, bo to już na świństwo zakrawa.

Ale, powiedziałaś pan na wstępie, że Paryski w początkach swej karyery sam był socyalistą, a teraz jest jego przeciwnikiem i zwalcza go w swojej gazecie. Otóż i na to należy się panu odpowiedź.

Najpierw Paryski nigdy sam o sobie nie mówił, że jest socyalistą. Tylko wy sami, bez jego wiedzy i woli przyznawaliście się do niego, boście myśleli, że jego nazwisko, popularne między ludem polskim w Ameryce, ułatwi wam agitację na rzecz waszej partii, boście myśleli, że będziecie w nim mieli wpływowego sojusznika i pomagera ale gdyście się na nim zawiedli, to dalejże na niego. To renegat, to taki, to owaki, to zdrajca socyalizmu.

Nieprawdą jest żeby on był waszym przeciwnikiem i w gazecie zwalczał wasze zasady. On tylko przedstawia rzeczy jak są, a że pomiędzy polskimi socyalistami w Ameryce więcej bandytów, oszustów,

złodziei i ludzi upadłych moralnie, jak ludzie uczciwych, to przecie nie jego wina.

Przyznasz pan sam, że po wojnie rosyjsko-japońskiej przybyła do Ameryki z Królestwa Polskiego i z Galicyi masa rycerzy noża i browningów, a każdy z nich mieni się być bojownikiem z pod czerwonego sztandaru, to jest socyalistą, choć w rzeczywistości większość z nich to pospolici zbrodniarze. Jabym socyalizm porównał z medycyną. Jak w medycynie obok lekarzy uczciwych, poświęcających się z zamiłowaniem swojemu zawodowi i będących błogosławieństwem dla ludzkości, mamy także szarlatanów, oszustów, spekulujących tylko na kieszeń pacyentów, a nie dbających wcale o ich zdrowie, tak i socyalizm, jak zresztą każda inna partya polityczna, obok gorących i szczerych wyznawców zasad socyalistycznych, ma szarlatanów, ludzi bez żadnych przekonań, naciągaczy, wprost zbrodniarzy, którzy pod płaszczykiem socyalizmu dopuszczają się rozmaitych zbrodni i bezprawii. Że Paryski w swojej gazecie takich ludzi i ich czyny piętnuje, to nie znaczy jeszcze żeby potępiał socyalizm, żeby przeciw niemu wrogo występował. Nie on szkodzi waszym zasadom, ale ci z waszych szeregów, którzy

występki ubierają w szatę socjalizmu. Paryski uchyla tylko rąbek tej szaty i ukazuje społeczeństwu nagotę i brzydotę waszych towarzyszków.

Są szarlatani w medycynie, są szarlatani w polityce, są także i w partyi socjalistycznej, a w partyi polskich socjalistów w Ameryce pono tych szarlatanów najwięcej. Czy Paryski temu winien? Nie, winna to was samych, że pod pokrywką socjalizmu pozwalacie uprawiać bandytyzm.

— Tatusiu! Tatusiu! Ksiądz proboszcz idzie do nas. Już wyszedł od Walentych i prosto tu idzie — zawołał mały synek Macieja wbiegając zadyszany do stancyi.

— Więc pan nie zapiszesz naszej gazety? — zapytał agent, powstając i biorąc za walizkę.

— Nie, mój panie — odpowiedział Maciej. — Niechcę szukać nowych a wątpliwych przyjaciół, kiedy mam starego a wiernego w "Ameryce-Echu."

Tu dało się słyszeć pukanie do drzwi, a nim Maciej miał czas zawołać "proszę," wszedł do izby miejscowy proboszcz.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków—odpowiedział Maciej.

Agent popatrzył z pod oka na przybyłego księdza, powiedział gospodarzowi dobranoc i wyszedł.

II.

— No, jak się tu macie, Macieju, zaczął proboszcz, usiadłszy na krzeselku, które uprzejmie podał mu gospodarz. — Wszyscyście zdrowi?

— Dziękuję jegomości. Ot tak, pomałuśku kołace się człowiek z dnia na dzień.

— Mielicie widzę gościa, którego wam moim przybyciem spłoszyłem.

— E, nie był to gość, tylko agent od socjalistycznej gazety. Gawędziliśmy chwilę, a gdy się przekonał, że mię nie namówi na swoją gazetę, to się i wyniósł.

— Toście dobrze zrobili, żeście socjalistycznego pisma nie zapisali, bo te szpargały nie warte są tego, żeby je nasz katolicki lud popierał. Jak nie macie gazety, to ja wam dam adres kilku katolickich gazet i możecie jedną z nich zaprenumerować.

— Dziękuję jegomości, ale ja się już będę trzymał jednego pisma, które czytam już ośm lat.

— A jakie to pismo czytacie?

— “Amerykę-Echo,” które wydaje Paryski w Toledo.

— Człowieku, bój się Boga! Jak ty możesz czytać takie bezbożne, liberalne pismo?

— Bezbożne pismo? No, wie ksiądz proboszcz, że pierwszy raz słyszę, żeby “Ameryka-Echo” była bezbożną gazetą.

— Ależ, tak tak; jest to najbezbożniejsze pismo na świecie. Jej wydawca, to znany ateusz, niedowiarek, który w swej gazecie naigrawa się z religii, wyśmiewa się z księży, napada na nich w każdym numerze, nazywa ich wyzyskiwaczami; rozpustnikami, i już sam nie wiem jak. Może jeszcze i “Różgę” Paryskiego trzymacie?

— A jakżeby nie? Ma się rozumieć, że trzymamy, bo to widzi dobrodziej, choć my ludzie ubodzy, prości robotnicy i nie stać nas co dzień na wykwintne jadlo, tylko odżywiamy się prostą ale zdrową strawą, to jednak moja stara choć raz co tydzień, w niedzielę poda na stół jakiś lepszy kąsek, żeby choć w święto dogodzić podniebieniu.

Tak samo ze strawą duchową. Zwykłym moim pokarmem umysłowym, to książki i "Ameryka-Echo," które czytuję codziennie, zaś w niedzielę po obiedzie, jak to panowie nazywają, na deser, dla ciała kobieta mi daje kawałek paja albo kieksa, a dla ducha zafundowałem sobie "Różgę" i nieraz czytając ją, uśmieję się, aż mnie boki bołą, że mi potem ani w myśli salun albo piwna kompanijka. W ten więc sposób i umysł rozerwę i na kieszeni szwanku nie poniosę.

— Dobrze to wszystko, ale jak wy możecie takie bezbożne pisma czytywać? Powiadam wam, że zgubicie swą duszę.

— E, widzę, że będę miał dziś drugi "fajt" o "Amerykę-Echo" i o Paryskiego, bo jak jegomość nadszedł, to właśnie polemizowaliśmy na ten temat z agentem socjalistycznej gazety i pobiłem go z kretesem.

— Może być, że wam się to z nim udało, ale ze mną się nie uda, bo ja wam dowiodę jak na dłoni, że "Ameryka-Echo" to pismo wrogie religii katolickiej, a jego wydawca to bezbożnik i ateusz.

— A no, co robić, niech już i tak będzie. Zgadzam się na dysputę z jegomością, tylko niech jegomość będzie łaskaw mi po-

wiedzieć, czy trzyma, a przynajmniej czytuje od czasu do czasu "Amerykę-Echo."

— Ja miałbym czytywać ten ateuszowski szpargał? A niech mię Bóg broni!

— Tak? No, to kiedy ojciec tej gazety nie czyta, to skąd ksiądz wie, że to gazeta zła i bezbożna?

— Bo mi inni księża o tem mówili, a i pisma katolickie potępiają gazetę Paryskiego.

— I księdzu to wystarcza? To bardzo źie, bo człowiek roztropny a sprawiedliwy nigdy nie powinien wydawać sądu o kimś na podstawie zdań innych, często uprzedzonych do kogoś ludzi. Gdyby Ojciec sam czytywał "Amerykę-Echo," toby się przekonał, że niema w niej nic przeciwnego religii katolickiej.

— To wy chcecie, żeby mi wam prędzej wierzył jak moim konfratrom, księżom?

— Nie, ja tego nie chcę. Ja tylko chcę Ojca przekonać, że nie zawsze można polegać na zdaniu, choćby nawet i księży. Zresztą wie Ojciec co? Nasza parafia ma jeszcze długi, Ojciec mozoli się i męczy, chodząc po domowej kolekcje; ja ojcu nastroczę łatwy sposób skolektowania poważnej sumy, bo aż całej tysiączki.

— Co, tysiąc dolarów? A to w jaki sposób?

— Bardzo łatwy. — Ot ja tu mam ośm roczników "Ameryki-Echa." W nich Paryski ogłaszał nieraz, że wypłaci tysiąc dolarów każdemu, kto mu udowodni, że "Ameryka-Echo" występuje przeciw jakiegokolwiek religii wogóle, a w szczególności przeciw religii rzymsko-katolickiej.

Niech no Ojciec przysiądzie fałdów, przewertuje dobrze te roczniki, gdy ojciec znajdzie w nich coś takiego, co się nie zgadza z zasadami wiary lub zaprzecza któremu z jej dogmatów, albo choćby coś takiego, co podaje religię katolicką w pośmiewisko, a tysiąc dolarów będzie jak lodu, bo Paryski słowny człowiek; co obieca, to dotrzyma, a i finansowo odpowiedzialny, więc tysiącza u niego pewna.

— E, kto by tam wertował tyle bibuły. Ja to wiem napewno, że Paryski jest niedowiarkiem i że gdzie tylko może napada na księży, podkopuje ich powagę i szacunek u ludu, a tem samem osiabia w nim wiarę i przywiązanie do kościoła katolickiego, który stanowią Ojciec św. biskupi, kapłani, a wreszcie i wierni. Wszak wiecie z Ewangelii św., że Chrystus Pan powie-

dział do uczniów swoich, że kto nimi gardzi, Nim gardzi, a że następcami tych Jego uczeni jesteśmy my kapłani, więc kto na nas napada, kto nas lży, opisuje po gazetach, ten tem samem gniewa samego Mistrza Jezusa Chrystusa.

— Ładnie to jegomość powiedział, ale nie trafia to koniecznie do mego przekonania, szczególnie to porównanie, bo jak pomiędzy apostołami i uczniami Chrystusa był Judasz Iskaryota, który nie wart był szacunku i poważania, tak i pomiędzy następcami uczniów Chrystusowych t. j. kapłanami jest wielu Judaszów, którzy nie mogą rościć pretensyi do czci i szacunku wiernych. Ale niech no Ojciec pozwoli, że w tej kwestyi obszerniej mu odpowiem, a jeśli w mojej odpowiedzi będą trochę przyostre wyrazy, to proszę mi wybaczyć, bo taki Maciej Grzęda jak ja, wypowiada co myśli, ot tak, jakto mówią, prosto z mostu.

— I owszem, mówcie, ja się nie pogniewam, choćbyście się wyrwali i z jakim nieparlamentarnem słówkiem.

— Otóż czy Paryski jest bezbożnikiem i ateuszem, to ani moja ani Ojca rzecz, bo po pierwsze osobiście go nie znamy, a po

drugie sprawa to pomiędzy nim a jego sumieniem, czysto prywatna. Żeby Paryski napadał na księży, to nieprawda.

— Jakto, nieprawda, kiedy mnie mówili tacy księża, których on w swoich gazetach osmarował.

— No już się Ojciec gniewa, choć jeszcze nie wypowiedziałem wszystkiego co myślę.

Napadać kogoś, a wypowiadać o kimś swoje zdanie oparte na niezbitych faktach, to wielka różnica. Pismo, które bez powodów i dowodów pisze o kimś źle, popełnia oszczerstwo, za które może być nawet sądownie karanem, ale pismo, które przestrzega swych czytelników przed wyzykiem jednostek, spełnia tylko swój obowiązek. Jeśli więc Paryski zadrasnął kiedy w gazecie swojej którego z księży, to pewnie miał potemu słuszne powody i ów ksiądz musiał sobie swym postępowaniem na to zasłużyć.

— Tak? A kto to Paryskiego upoważnił do wytykania błędów księży? Zkąd on do tego przychodzi, żeby nas krytykował? My podlegamy tylko władzy kościelnej i ta tylko ma prawo orzekania o naszych postępkach, a Paryskiemu i podobnym jemu pismakom od nas zasię.

— Co do spraw czysto kościelnych, religijnych, to prawda, że tylko wyższą władzą duchowną ma prawo decydowania o postępowaniu księży i o takich sprawach Paryski nigdy nie pisał ani nie pisze, ale, że księża, oprócz spraw kościelnych, na nieszczęście zajmują się jeszcze i sprawami świeckimi, więc tak samo jak ludzie muszą podlegać i prawom i świeckim i sądowi opinii publicznej, a wyrazem tej opinii są właśnie takie gazety jak "Ameryka-Echo."

— A jakież to sprawami świeckimi księża się zajmują?

— Czy to jegomość nie wie? A udziały w różnych kopalniach, to złota, to miedzi, to nafty, a handel farmami, to na Kubie, to na dalekiej gdzieś północy, a wydawnictwa różnych gazet, a tysiące innych interesów finansowych jakie prowa dzą?

— No i cóż z tego? Czy im to nie wolno, czy na tem kto cierpi?

— Pewnie, że cierpi, pewnie, że nicjeden na tem traci i to grubo traci.

— A to jakim sposobem i kto?

— W pierwszym rządzie traci na tem moralnie kościół katolicki, bo ksiądz zajmujący się świeckimi sprawami finanso-

wemi, najczęściej zaniedbuje sprawy duchowne swoich parafian. Dlatego to i kanony, o ile mi wiadomo zabraniają księżom prowadzenia jakichkolwiek interesów finansowych. Księża, jako słudzy ołtarza, mają żyć tylko z ołtarza. Tak orzekł także i obecny papież Pius X w swej niedawno wydanej encyklice, w której wyraźnie zabrania księżom brania udziału w jakichkolwiek, choćby nawet filantropijnej natury, przedsiębiorstwach. I uczynił całkiem słusznie, bo cobyś ksiądz na to powiedział, gdyby który z kapłanów wziął z ołtarza poświęcony czyli konsekrowany kielich na plebanię i używał go do powszedniego użytku domowego.

— A niechże Bóg broni! Taki ksiądz byłby świętokradzcą i taki pewnie się między nami nie znajdzie.

— Gdzie tam, Ojcze, takich jest wielu między wami i o takich to właśnie księżach Paryski pisze nieraz w "Ameryce-Echu."

— Jakto, co mówicie? A gdzieście to słyszeli, żeby który kapłan profanował kielich mszalny?

— Kielich nie, ale niejedyn ksiądz popelnia świętokradztwo, zajmując się świeckimi interesami, i to często niezbyt czy-

stej natury, choć tak samo jak kielich, jest poświęconym wyłącznie na służbę bożą.

Ale i ogół traci również na tych i świeckich księzych biznesach i to często traci nawet grubo. Zaraz to księdzu proboszczowi dowiodę.

Taki ksiądz biznesista, najczęściej nie ma wyobrażenia o biznesie. Przyjdzie doń jaki wyszczekany, sprytny elegancik i mówi: ‘Księżu proboszczu dobrodziej, mam świetny interes do zrobienia. Tam a tam jest taka a taka kopalnia, taki a taki obszar ziemi ślicznej, urodzajnej, jednym słowem płynącej mlekiem i miodem: w sam raz na polską kolonię. Trzeba tylko kapitału, trzeba zorganizować spółkę, a w roku włożony kapitał przyniesie sto za sto. Wie jegomość co, weźmy się obaj do tego interesu; ksiądz, jako człowiek wpływowy, staniesz na czele spółki i zachęcisz zamożniejszych swych parafian do zakupna akcji, a ja już całym interesem poprowadzę. Ksiądz zachęcony obietnicą zysków, ani pomyśli o tem, że gdyby ten ‘złoty’ interes, jaki mu elegancik naciągacz przedstawia, był rzeczywiście złotym, to yankiesi, jako już urodzeni biznesiści, z pewnością pochwyliby go w swe ręce, nie dając ani jednej

akcyi powąchać polskiemu księdzu, że ten biznesowy naciągacz idąc do niego już z góry uplanował — że “pała,” bo tak księży zwykli nazywać tacy pośrednicy złotych interesów — ma dosyć pieniędzy, a polakomiwszy się na grube zyski i nie rozumiejąc się na interesie, poruszy swego złotego kocura i odda go w opiekę agenta, daje nie tylko własne oszczędności, ale namawia i swoich parafian do udziałów w tym rzekomo złotym interesie, co gorsza, chcąc się prędzej zбогacić pakuje w ten interes parafialne fundusze, depozyty parafian złożone i kasie parafialnej, a przeznaczone czy to na opłatę długów parafialnych, czy to na budowę kościoła czy szkoły, agent, manazer spółki, bierze ile się da, a gdy widzi, że już dobrze napompował “pałę,” następuje krach, agent się ulatnia wraz z księżym kocurem, krwawicą zamożniejszych parafian i dopozytami parafialnymi, a księdza zostawia w zupie. No i co Ojciec myśli, co się wtedy dzieje w parafii? Czy trzeba aż “Ameryki-Echa,” żeby księdzu odebrać szacunek; zaufanie ludu? Czyż nie lepiej, że Paryski od czasu do czasu przestrzega ludzi w swojej gazecie, żeby nie powierzali swych pieniędzy księżom?

— Ładnieście to wszystko wyłożyli, Macieju, muszę przyznać, że są pomiędzy nami tacy nieopatrzeni i lekkomyślni księża, ale co Paryskiemu i jego gazecie do tego?

— Jakto, co do tego? A od czego gazeta? A to dobre! A po jakiego licha ja miałbym za nią płacić dwa dolary rocznie, jakby ona mnie nie przestrzegła przed wyzyskiem, choćby nawet i księdza? Gazeta to niejako policyant moralności publicznej. Ho, ho, ładneby się rzeczy działy w tej naszej kochanej Ameryce, żeby gazety przemilczały wszystkie nadużycia, jakie się dzieją czy to ze strony świeckich czy duchownych naciągaczy.

— Niech i tak będzie, ale jakim prawem “Ameryka-Echo” potępia księży, którzy wydają katolickie gazety? Pewnie boi się, żeby te katolickie pisma nie robiły jej konkurencyi.

— E, gdzie tam, proboszczu; Paryski owszem kontent, że takie, niby to katolickie pisma wychodzą, a nie wie Ojciec dlaczego? Bo one zamiast mu szkodzić przyczyniają mu tylko abonentów.

— A to w jaki sposób?

— W całkiem prosty. Widzi jegomość. Jak ja idę na markiet kupować dla mojej kro-

wy siano i widzę tylko jedną furę ze sianem, to najczęściej nie kupię, bo i cena zdaje mi się za wysoką i siano nie najlepsze, ale jak na marku stoi kilka lub kilkanaście fur ze sianem, to mam w czym wybierać i kupię najlepsze. Tak samo i z czytelnikami "Ameryki-Echa." Oni nie biorą jej dla tego, że agent ich namówił, ale dla tego, że porównawszy ją z innymi gazetami uznają ją za najlepszą. Gdy która z tak zwanych gazet zwymyśla Paryskiego i jego pismo, to takie wymyślanie jest najlepszą dla niego reklamą, bo ten i ów, który przedtem może i nie słyszał o "Ameryce-Echu" pomyśli sobie: A co też to tam w tej Paryskiego gazecie takiego stoi, że nasz ksiądz w swoim piśmie tak na nią piorunuje. No, i każe sobie przysłać i jeden z drugi okazowy numer, a przekonawszy się, że to nie taki dyabeł straszny, jak go księży pismak odmalował, ale owszem pismo poważne, pociągające i prawdziwie dla ludu redagowane, odmówi księżą, a zapisze Paryskiego gazetę.

— No dobrze, kiedy tak jest, jak powiadacie, to Paryski ze względu na własny interes, za te bezpłatne ogłoszenia, jakie mu

robią księżę gazety nie powinien brać księżom za złe, że takowe wydają.

— Otóż teraz widzę, że jegomość nie zna Paryskiego. Jemu nie idzie tyle o własny interes, co o dobro ludu, i dlatego właśnie, choć mu te księżę gazety nie tylko konkurencyi nie robią, ale owszem pomagają do rozpowszechniania “Ameryki-Echa” on tych księżych wydawnictwo nie pochwała.

— Teraz to już was całkiem nie rozumiem.

— Zaraz mię jegomość zrozumie. Widi jegomość, te księżę gazety właściwie nie służą ogółowi, ale własnym swoim wydawcom, a zamiast lud pouczać, ogłupiają go tylko.

— E, co wy też Macieju gadacie. Pisma katolickie lud ogłupiają!

— Albo to pisma katolickie, ja przecie wyraźnie mówiłem o nich jako o “tak zwanych pismach katolickich,” a nie o katolickich.

— O, o, o, a to co znowu za wykręt?

— To nie żaden wykręt, tylko szczerą prawdą. Te pisma to takie ni to ni owo, coś jak to mówią: ni pies ni wydra coś na kształt świdra. Bo, że co tydzień jest w

niek. Ewangelia św., nie jest jeszcze dowodem ich katolickiego kierunku. Wiara katolicka głównie polega na miłości bliźniego, a dużo tej miłości znajdzie w tych pismach? Nie mówiąc już o wyzwiskach na liberałów, na narodowców, na socyalistów, ile to w tych katolickich pismach klótni pomiędzy samem duchowieństwem. Tu ks. A. wymyśla ks. B., tam ks. X. ks. Y. i tak przez cały rok w kółko. I to ma być zdrową strawą umysłową dla ludu?

— Ej, ej, Macieju widzę, że was już Paryski całkiem na liberała przerobił.

— Niech no jegomość poczeka, bo jeszcze nie powiedziałem nic o finansowej stronie tych księżych wydawnictw. Te wydawnictwa to także nieudane księżę biznes-finansowe. Wydawnictwo dobrej gazety, to i trudna i kosztowna rzecz. Trzeba do niej i wiele czasu i wiele pieniędzy i jeszcze więcej rozumu. Wydawca, chcąc sumiennie wypełnić swe obowiązki, musi się cały poświęcić temu zawodowi. Księża tego uczynić nie mogą, więc wyręczają się najemnikami i to tanimi, a że za tanie pieniądze, tania robota, więc cały biznes wydawniczy kuleje, dochód nie żyje w zgodzie z rozchodem, niedobór powiększa się

z każdym rokiem, a kto ten niedobół opłaca? zazwyczaj parafia. Lecz dajmy temu spokój. Nazwał mię ojciec liberałem. Co to właściwie znaczy ten wyraz liberał?

—Liberał znaczy na polskie wolnomyślny, to jest myślący nie tak jak wiara święta myśleć nakazuje, ale tak jak on sam chce, szczyżący się swoim własnym rozumem.

—E, jegomość, ja tam nie jestem teologiem, więc i nie mogę w tej kwestyi uczenie z ojcem dysputować, ale to wiem. bo tego i w katechizmie uczą, że największym darem, jakim Bóg człowieka obdarzył, to jest rozum i wolna wola, a gdybym nie mógł tymi darami dowolnie się posługiwać, tylko dałbym się powodować złym księżom i ich pismakom, to nie byłbym katolikiem; ale fanatykiem, a to pono gorsze jak poganizm.

Ja ojcu powiem otwarcie, że gdyby nie Paryskiego gazeta, to kto wie, czy patrząc na to wszystko, co się tu między naszymi księżmi dzieje i czytając ich pisma, nie byłbym już dawno wiary utracił.

— Cha, cha, cha! A to paradne, to Paryski swoją gazetą utwierdził was w wierze? No, no, Macieju, żebym was nie znał, jako

człowieka trzeźwego, tobym myślał, żeście dziś jednego za wiele wypili.

— Niech no się jegomość nie śmieje, bo to co mówię, to prawda. Gazeta Paryskiego nie utwierdziła mię w wierze, ale pouczyła mię, że wiara w Boga, a wiara w księży, to dwa całkiem odrębne pojęcia, które jeśli się mięsza ze sobą, to albo zupełnie pozbywa się wiary, albo staje się fanatykiem, pojmującym istotę tylko zewnętrznych jej obrzędów i formulek.

— A to was Paryski nauczył nieuszanowania i nienawiści księży.

— Broń Chryste! Tego on nikogo nie uczył i nie uczy. Paryski jest tak oględnym w wyrażaniu się o księżach, że nawet nigdy nie porusza ich prywatnego życia, choć to życie jest często nawet bardzo gorszące. On wie, że księża są tylko ludźmi i jako takich ich traktuje. Dobrych, dobrze — złych źle. Spraw czysto kościelnych on w "Ameryce-Echu" nigdy nie porusza, ich czynności kapłańskich nie krytykuje

— Aha tu was złapałem. Powiadacie, że Paryski nie mięsza się do spraw kościelnych, a wiele to razy występował jak sły-
szałem — przeciw urzędowaniu przez księży

pikników i fairów parafialnych, wiele to razy ganił księżom mięszanie się do spraw politycznych i on by im nawet chciał wzbronić udziału w pracach narodowych.

— E, gdzie mię tam jegomość złapał. Przecież urządzenie pikniku i fairów parafialnych potępia nie tylko Paryski, ale nawet wyższa władza kościelna i to całkiem słusznie, bo niech tylko jegomość zauważy:

Rano na kazaniu ksiądz z ambony gromi pijaków, wykazuje zgubne skutki pijaństwa, a zaraz po kazaniu zaprasza parafian czy to na piknik czy na fair parafialny, na których stromieniami leje się i piwo, i wino i wódka, ten sam ksiądz, który potępiał rano z ambony pijaństwo, popołudniu kręci się w "basemencie" między uczestnikami zabawy, sam trytuje i namawia do trytowania.

— No, tak..., to trochę trudno pogodzić jedno z drugim, ale zważcie Macieju, że parafia potrzebuje pieniędzy, których wiele zarabia na takich zabawach.

— A czy takie fundowanie kościołów na podwalinach z butelek i kieliszków jest mi-
łem Panu Bogu? Czy taki ksiądz, który w pierwszym rzędzie sam jest obowiązany do wypełniania przepisów wyższej władzy

duchownej, przekraczając te przepisy i rozporządzenia, nie daje złego przykładu?

Że Paryski nie pochwała mieszania się księży do polityki, czyni również dobrze, bo czy to nie ubliża godności kapłańskiej gdy taki sługa boży, jak pierwszy lepszy naganiacz polityczny agituje za tą lub ową partya, za tym lub owym kandydatem, często nawet wystaje przed budką wyborczą i ciągnie do niej swoich parafian dla tego tylko, że mu jakiś kandydat wsunął w łapę jaką setkę lub dwie, albo obiecał urząd jego przyjacielowi lub krewniakowi. Jako jednostka, obywatel ma prawo głosu i tego prawa Paryski w swojej gazecie nigdy księżom nie odmawiał; on gani tylko księży politykierów, którzy handlując głosami często wbrew swemu przekonaniu politycznemu, poniżają stan duchowny.

Co do udziału księży w pracy narodowej, to Paryski nietylko nie odmawia im takowego, ale owszem bierze im za złe ich lenistwo pod tym względem, bo jako ludzie wpływowi, i inteligentni mogliby wiele zdziałać w tym kierunku.

— Jak widzę, to się dziś z wami nie dogadam, bo wy w Paryskim i w jego gazecie

widzicie wszystko dobre, a nam księżom odmawiacie wszelkich zasług i szacunku.

— Gdzie tam, jegomość. Ja z 'Ameryki-Echa' nauczyłem się uznawać zasługi księży i szanować uczciwych kapłanów, którzy są prawdziwymi sługami Bożymi, dobrymi patryotami. Ot niedawno temu jak to Paryski pięknie pisał o zmarłym księdzu Wawrzyniaku; uczcił go i jako kapłana i jako obywatela. A czy może ma chwalić i szanować takich Macochów, Izidorów i innych zbrodniarzy w sutannach: Toć ja pierwszy wyrzuciłbym jego gazetę za drzwi.

— Bądź co bądź, nie powinien pisać o występkach księży, bo to poniża stan duchowny.

— E nie, Ojczy. Księży, którzy się sami szanują, to ich i ludzie i gazety szanują, a złych księży, choćby i wszystkie gazety chwaliły, własne ich uczynki pozbawią szacunku u ludzi.

— Powiedzieliście, że "Ameryka-Echo" nigdy o kościelnych rzeczach nie pisze, że Paryski w te sprawy się nie miesza, a wiele to razy pisał o zaburzeniach parafialnych w tej lub owej parafii, wiele razy krytykował parafialną gospodarkę księży,

a. wszystko dlatego, żeby ich zohydzić przed ludźmi. A czemu to wydał drukiem i sprzedaje ludziom rozporządzenia dyecezyalne, kto go do tego upoważnił, czy to jego rzecz?

— I na to ojcu odpowiem i przekonam go, że niesłusznie pod tym względem potępia "Amerykę-Echo" i Paryskiego. Ja powiedziałem, że Paryski i jego gazeta nigdy nie miesza się w sprawy kościelne, a nie parafialne. Do spraw kościelnych t. j. czysto religijnych nie ma prawa mieszać się żaden człowiek świecki, od tego wyższa władza kościelna, biskupi i papież. Co innego parafie, które są niejako organizacjami, i zarząd którymi nie należy do samych tylko księży, a przynajmniej zarząd funduszami tych organizacyj, ale do ludzi świeckich z wybranych przez ogół parafian, którzy zwą się trustysami czyli prowizorami. Ci to trustysi mają prawo i obowiązek zarządzania parafią, a proboszcz ma tylko nadzór. Tak wyraźnie chcą przepisy dyecezyalne i słusznie, bo lud łożąc pieniądze na utrzymanie parafii, powinien sam tymi pieniędzmi gospodarzyć i wiedzieć gdzie i na co są wydawane. Tymczasem w wielu parafiach dzieje się inaczej.

Ksiądz trzyma kasę parafialną, ksiądz bez poradzenia się z ludźmi buduje pałace — plebanie, sprawia zbytkowne sprzęty, a często czerpie z kasy parafialnej, jak ze swojej własnej na swe prywatne potrzeby, a lud płaci i płaci, długów na parafii coraz więcej, więc i niedziw, że prędzej czy później w takich przez samych tylko księży zarządzanych parafiach, następują zaburzenia, gwałty, procesa, przynoszące tylko wstyd naszej narodowości. Otóż Paryski, widząc to zło i chcąc mu zapobiedz, poucza tylko lud o przysługujących mu prawach i pisze w "Ameryce-Echu" mniej więcej tak: "Dla księdza ołtarz, konfesyonał i moralne zwierzchnictwo nad parafią — dla ludu zarząd finansowy tejże, bo tylko ten, kto daje pieniądze, ma prawo nimi rozporządzać." Zresztą nie jest to zdanie samego tylko Paryskiego, tak wyraźnie chce i wyższa władza kościelna i gdyby księża z ludem dzielili się w ten sposób: to moje a to wasze; dotąd sięgają moje prawa a odtąd zaczynają się wasze, to nie byłoby ani zaburzeń parafialnych, ani kościołów niezależnych, ani tyle zgorszenia.

Co do wydanych drukiem przez Paryskiego przepisów dyecezyalnych, to powiem

Ojcu, że takowe przetłómaczył na polecenie ks. biskupa Kudelki specjalny komitet, a aprobował je własnoręcznym podpisem zmarły ks. biskup Horstman, zaś Paryski, drukując je i rozpowszechniając, postąpił tylko w myśl wyższej władzy duchownej, bo ta, jeśli je wydała, to nie dla samych tylko księży, ale i dla ludu, żeby jak pierwsi, tak i drudzy wiedzieli czego się trzymać. Paryski wogóle zawsze i wszędzie szedł ręką w rękę z wyższą władzą duchowną. Wszystkie przez niego wydane książki treści religijnej mają aprobatę biskupią. Ot i teraz rozpoczął druk Pisma Świątego aprobowanego przez wszystkich katolickich biskupów, tłómaczonego z Vulgaty przez ks. Wujka z prześlicznymi obrazkami jednego z najslawniejszych rysowników Dorego.

Będzie to olbrzymia i prześliczna książka, która powinna się znajdować w każdym katolickim domu polskim.

— No, a ‘‘Różgę’’ może także pochwalicie, że to dobra gazeta?

— Pewnie, że dobra. Wprawdzie czasem przytnie i to nawet ostro temu lub owemu, zamieści nawet jakiś obrazek pocieszny, czasem i coś da tłustego, ale to

tak dowcipnie, że się człowiek uśmieje i ubawi.

— Na miłość Boską, Maciejku, co z wami!?! Przecież to pismo sam widziałem. Rysuje w niem Paryski nas księży ot takich grubasów, pisze nieraz takie nieprzyzwoite dwuznaczniki, że gdyby je dzieci albo młodzież czytała, toby się całkiem popsuła.

— A czy to Paryskiego wina, że prawie każdy z jegomości gruby? Przecież nie będzie was rysował jak tyczki od chmielu, kiedy z was każdy korpulentny i zdrów jak rydz. Co zaś do zgorszenia dzieci i młodzieży, to prawda, że są nieraz w "Rózdze" rzeczy, które młodzi czytać nie powinni, bo czytając mogliby się zgorszyć, ale to znów inna sprawa. Widzi ojciec, ja tu w tej szufladzie zawsze zamkniętej na klucz trzymam i brzytew i nabity rewolwer, a trzymam te rzeczy dla tego pod kluczem, żeby się dzieci do nich nie dorwały i przypadkiem nie zrobiły sobie jakiej krzywdy.

Gdybym ale pozostawił je na wierzchu i które z dzieci okaleczyło się brzytwą albo postrzeliło z rewolweru, to czy byłby temu winien fabrykant, który brzytwy, i rewolwery wyrabia albo kupiec, który je sprzedaje i czy dlatego miałby jeden zaprzestać

je wyrabiać, a drugi sprzedawać. Z pewnością że nie. Ja sam tylko byłbym winien, bom je pozostawił w takim miejscu, do którego miały przystęp. Tak samo i z "Różgą", kto ją trzyma, niech czyta sam, a potem chowa przed dziećmi, to się nie zgorszą, a jeśli się zgorszą to nie z winy Paryskiego ale z jego własnej.

— Mówcie wy co chcecie, a ja nie przestanę utrzymywać, że wydawane przez Paryskiego, pisma są dla ludu szkodliwe, bo podkopują w nim wiarę.

— A no, może Ojciec ma i słuszność, ale tylko w jeden sposób może mię Ojciec o tem przekonać.

— A to w jaki?

— Słyszałem, że złe pisma i książki kościół św. utrzymuje na tak zwanym indeksie t. j. zabrania je wiernym czytać pod grzechem śmiertelnym. Otóż niech jegoćmość poszle gazety Paryskiego do władzy duchownej, a jeśli ta uzna je za przeciwnie wierze i moralności i postawi je na indeksie kościelnym, wtedy natychmiast wyrzucę z domu i "Amerykę-Echo" i "Różgę".

— Po co tu wyższej władzy kościelnej, kiedy ja, wasz proboszcz, mówię wam, że te

pisma są złe, a ja się przecie lepiej od was znam na tem.

— Jakże się ojciec może znać na tem, kiedy ojciec pism Paryskiego nie czytuje, a wiem znów na pewno, że wielu księży trzyma "Amerykę-Echo" i chwali sobie, że to dobra gazeta, a i ja za taką ją uważam.

— No, dajmy już spokój dyspucie, bo już późno. Zostańcie wy przy swoim, a ja przy swoim. Ale ja się tu z wami rozgadałem o "Ameryce-Echu" i o Paryskim, a właściwie przyszedłem do was po kolekcje. Może mi nic nie dacie, bo wam może "Ameryka-Echo" nie każe dawać kolekty na kościół?

— Nie, ojczy, "Ameryka-Echo" nigdy nie uczyła ludzi, żeby nie dawali kolekt na kościół, a gdy jeden z moich znajomych był raz w Toledo i rozmawiając z Paryskim między innymi potrącił i o sprawy parafialne i zapytał go, czy należy się dawać kolekty na kościół, to wie jegomość, co mu Paryski odpowiedział?

— No?

— Powiedział mu tak: "Jeśliś pan katolik, jak panu kościoła i księdza potrzeba, to wiesz, że ci nikt ani kościoła za darmo nie pobuduje, ani ksiądz ci za darmo usłu-

głować nie będzie, bo on również żyć potrzebuje i to żyć odpowiednio do swego stanu, więc i na utrzymanie kościoła i na utrzymanie księdza płacić powinien, ale płacąc, uważaj, żeby twój cent szedł na te tylko cele, na jakie go dajesz. Tak on to mądrze powiedział, to też i ja od kolekty się nie usuwam i daję chętnie co mogę, bo wiem, że w naszej parafii jest porządek, i że nie ksiądz ale my sami przez naszych trustysów rządzymy funduszem parafialnym.

— Słyszałem, że Paryski miał pisać nieraz w "Ameryce Echu," że księża zdzierają za wiele za śluby, pogrzeby i t. p. usługi religijne. Czy to prawda?

— Tego nigdy w "Ameryce-Echu" nie czytałem, ale ten sam mój znajomy rozmawiał i o tem z Paryskim, a on mu tak odpowiedział. Widzi pan, ta książka — tu mu pokazał jakaś książeczkę — jest broszurowana i kosztuje tylko 50c. ale jak kto chce kupić taką samą książkę w skórzanej oprawie, ze złoceniami to musi zapłacić dolara.

Tak samo ze ślubami i pogrzebami. Chce ktoś żeby mu podczas ślubu ołtarz oświetlono elektrycznością, na chórze grano marsza i podczas pogrzebu nastawiano pełno świec przy katafalku, to ksiądz chyba

był głupi, żeby nie żądał więcej, zwłaszcza kiedy i pogrzebowy i kwiaciarz drą ile mogą. Kto chce parady, to niech za paradę płaci. Wtedy tylko byłoby ze strony księdza zdzierstwo, gdyby się wzbraniał dać ubogiemu ślubu, lub pochować go, dla tego tylko, że nie może tyle zapłacić wiele ksiądz żąda." Takie zdanie w tej sprawie wypowiedział Paryski, choć co prawda to porównanie książki oprawnej do wystawnych ślubów i pogrzebów nie bardzo mu się udało, bo mocno oprawna książka wprawdzie droższa, ale dłużej wytrzyma, a ślub czy za dolara czy za trzydzieści dolarów jest jeden i ten sam i do szczęścia nowożeńcom nic nie pomoże, jak i umarłemu nie pomoże wystawny pogrzeb, boć i nasze przysłowie mówi, że umarłemu nie pomoże kadzidło. Ale próżność ludzka pragnie parady, no to niech za nią i płaci.

— No. mnie już czas iść. Dajcie no, Marię, dziesiątkzynę, a przy sposobności, znowu sobie pogawędzimy, bo to jeszcze i o szkoły parafialne mam żal do Paryskiego.

Zajdźcie kiedy do mnie wieczorem znowu pogadamy.

— I owszem, ja lubię z mądrymi ludźmi porozmawiać, a co do dziesiątkzyny, to tyle

nie dam, bo teraz ciężkie czasy, ale piątkę to już odłożyłem dla proboszcza i to chętnie daję, bo wiem, że potrzeba.

To mówiąc, Maciej dobył z kieszeni woreczek, wyjął pięciodolarową asygnatę i wręczył księdzu, który datek zapisał do książeczki, a pożegnawszy Macieja, który go odprowadził do drzwi i poświecił lampą na schody, wyszedł.

Maciej, wróciwszy do stancyi, usiadł przy stole i zabrał się nareszcie do czytania, ale ledwie przeczytał kilka kartek, gdy znów ktoś zapukał do drzwi.

— Znowu kogoś licha niesie — mruknął Maciej, zniecierpliwiony nową przerwą w czytaniu, a głośno zawołał: — Proszę!

— Oho, Maciej już w bibliach, jak sadogórski rabin — zawołał przybyły mężczyzna przystępując ku gospodarzowi i podając mu rękę. — Że też wam się nie sprzykrzy tak wiecznie czytać i czytać.

— A cóż mam lepszego do roboty? Po pracy, zwłaszcza zimową porą, książka to najmiłsza rozrywka. Ale siadajcie Walenty. Dawno już was nie widziałem. Co tam słyhać koło was?

— Nic nowego, ot tak pcha się będę z dnia na dzień — odrzekł zapytany siada-

jąc obok gospodarza. — Ale ja tu do was Macieju z małą prośbą. Wiem, że trzymacie "Amerykę-Echo" i chciałbym, żebyście mi posłali do tej gazety poszukiwanie za tym Kasprem Pyrdą z Klimkówki, co to trzy lata temu ożenił się był tu z Worodczanką i jak wyjechał gdzieś na westy to całkiem o nim słuch zaginął. Jest on moim krewniakiem i jego ojcowie pisali do mnie z kraju, żebym się koniecznie dowiedział o jego adresie, bo go tam potrzebują w jakiejś sprawie spadkowej.

— Hm, czemu to chcecie koniecznie umieścić poszukiwanie w "Ameryce-Echu," kiedy pono utrzymujecie sami jakąś gazetę i do niej moglibyście posłać to poszukiwanie.

— Tak też i zrobiłem i szło to poszukiwanie w mojej gazecie bez całej miesiąc, ale bez skutku, bo ani Kasper sam się nie zgłosił, ani mi nikt o nim nie doniósł, a że słyszałem od ludzi, że pono "Ameryka-Echo" ma najwięcej czytelników ze wszystkich gazet, to też pomyślałem sobie, że gdy do niej dam poszukiwanie, to prędzej Kaspra odnajdę.

— I dobrzeście słyszeli, bo rzeczywiście gazeta Paryskiego ma najwięcej czytelników.

ków. Ale czemu to sami tej gazety nie trzymacie?

— A to znowu co innego. Takiej gazety jak Paryskiego ja utrzymywać nie chcę.

— A to czemu?

— Temu, że żaden dobry Polak i patriota "Ameryki-Echa" trzymać nie powinien.

— Aha. A więc ci wszyscy, którzy trzymają to pismo nie są Polakami i patriotami, a że i ja ją trzymam więc i ja nie jestem patriotą?

— No, tego nie chciałem powiedzieć, a przynajmniej nie chciałem was, Macieju, obrazić, ale zawsze to nieładnie, że Polacy popierają takie niepatriotyczne pismo jak Paryskiego "Ameryka-Echo."

— Więc mówicie, że "Ameryka-Echo" nie jest pismem patriotycznym. Niech będzie i tak. Ale wiecie Walenty, że taka mowa na wiatr, bez dowodów, to poprostu plotka niegodna rozsądnego mężczyzny, za jakiego was mam i dlatego spodziewam się, że zechcie udowodnić, dlaczego to "Ameryka-Echo" uchodzi u was za pismo niepatriotyczne.

— Nie tylko u mnie ale u wszystkich dobrych patriotów. Wy nie czytacie innych gazet, to nie wiecie co one piszą o Paryskim i jego "Ameryce-Echu," że to sa-

molub, groszorób, że w swej gazecie potępia wszystko co polskie, wyśmiewa się z polskich organizacyj, krytykuje ich prace na polu narodowym, zamiast pomagać szkodzi im tylko, słowem, że niema w nim ani za centa patryotyzmu. I ja mam trzymać jego pismo? Nigdy! Kto wrogiem Polski, ten i moim wrogiem.

— Ho, ho, ho, jak wy to ładnie umiecie rozprawiać. Zaraz widać, że czytujecie tutejsze patryotyczne gazety i że z nich przyswoiliście sobie takie ładnie brzmiące wyrażenia, które nic nie kosztują, ale też i bez pożytku przebrzmiewają.

Powiedzieliście, że ja nie czytam tutejszych jak ich to nazwaliście patryotycznych gazet, dlatego nie wiem co one piszą o Paryskim i "Ameryce-Echu." Otóż mylicie się. Czytałem i ja te gazety i porównując je z gazetą Paryskiego, przyszedłem do przekonania, że po jego stronie słusność.

— To wy mu jeszcze słusność przyznajecie, za to, że ośmieszał nasz kongres polski w Washingtonie, że wydziwiał na naszych przewódców narodowych, potępiał budowę pomnika Kościuszki, śmieje się z wojskowych organizacyj, centa nie da na skarb Rapperswylski ani nie zachęca

swych czytelników do składek na takowy; o wyższej szkole polskiej ani wspomni, choć niby to gardłuje w swojej gazecie za oświatą, słowem do jednego czynu patryotycznego ręki nie przyłoży, a wszystko krytykuje na funty.

— Mój Walenty; nim wam odpowiem na te wszystkie zarzuty, jakie czynicie Paryskiemu i jego gazecie, pozwólcie, że was zapytam, co to znaczy ten wyraz patryotyzm i kogo wy uważacie za patryotę?

— To jak widzę, chcecie mię tu brać na egzamina, myślicie żem już taki głupi, że nie wiem co znaczy patryotyzm, kto jest patryotą a kto nie. Nie bójcie się, choć nie czytam "Ameryki-Echa" jak wy, ale czytam inne gazety, jeszcze lepsze od Paryskiego piśmida i z nich nauczyłem się nie jednego.

— Widać to widać, bo zamiast odpowiedzieć spokojnie, argumentować zimno, wy się unosicie i gorączkujecie kubek w kubek jak te pisma, które czytacie, a które argumentują tylko wyzwiskami, i gdybyście się zeszli z drugim takim jak wy gorączkowym patryotą, to już zwada byłaby gotową. Pytając was co znaczy wyraz patryotyzm, chciałem się tylko dowiedzieć

czy pojmujecie prawdziwe znaczenie tego wyrazu.

— Cobym nie miał pojmować. Patryotyzm to pono wyraz łaciński, a znaczy miłość swego kraju czyli ojczyzny.

— Tak, dobrzeście to powiedzieli, ale że każda rzecz na świecie choćby najszlachetniejsza i najwznioślejsza przez złych albowgłupich ludzi bywa nadużywaną dla złych celów, tak też i patryotyzm dla jednych stał się środkiem do robienia pieniędzy, dla drugich celem rozrywki i zabaw, dla innych znów środkiem zaspokojenia własnej ambicyi, a tylko niewielu pojmują go prawdziwie to jest prawdziwie i szczerze kochają swoją ojczyznę i dla niej skutecznie a bez rozgłosu pracują.

— A to wybyście chcieli patryotów posortować na różne kopki, tak jak nie przymierzając węgle, albo perki?

— Nie jabym ich nie chciał sortować, tylko na nieszczęście oni się sami sortują i to sortują się na patryotów prawdziwych, a tych niestety jest najmniej, na łapichłopów patryotycznych, na patryotyczne wielkości, na patryotycznych komedyanatów i na patryotyczne dzieci. Prawdziwi patryoci pracują cicho, kochając swój kraj, kochając Polskę dbając o wywalczenie jej

niepodległości przez oświatę, umoralnienie ludu, przez oszczędność, a tem samem podniesienie dobrobytu. Druga kategoria patryotycznych łapichłopów, to naciągacze i wyzyskiwacze, którzy na patryotyzmie chcą robić i robią pieniądze i ci są najgorsi i najszkodliwsi i takim to patryotom "Ameryka-Echo" nigdy nie przepuszcza ale piętnuje ich i wytyka, bo oni gorsi od otwartych wrogów, gdyż za pieniądź każdej chwili gotowi zdradzić Ojczyznę.

Dostaje się nieraz w "Ameryce-Echu" i patryotom chorującym na wielkość, bo to także bardzo szkodliwy gatunek patryotów. Znacie pewnie dobrze historię Polski więc wiecie, że tacy to właśnie ambitni niby to patryoci polscy jak Radziejowski, Opaliński, Zebrzydowski i wielu innych nie tylko wywoływali wojny domowe, ale na własny kraj naprowadzali najeźdźców. Takich ambitnych patryotów mamy wielu i tu w Ameryce. Nie przepuszcza Paryski i patryotycznym komedyantom, którzy urządzają różne patryotyczne szopki często na wspólną z patryotycznymi łapichłopami, pierwsi dlatego, żeby mieć sposobność do podpicia i zabawy, drudzy, żeby na tych szopkach coś zarobić.

— A jakież my tu w Ameryce urządzamy szopki?

— A wystawa polsko-amerykańska we Lwowie, a różne dni polskie urządzane po wielu koloniach polskich, a wiece protestacyjne, a kongres polski w Washingtonie, a budowy kilku pomników, a uniwersytety wędrujące, czy to wszystko nie szopki i to szopki bardzo kosztowne a bez najmniejszej korzyści, bo pokażcie mi, powiedzicie, cośmy na nich zyskali?

— O, o, o, Macieju to wy widzę, chcielibyście, żeby Polacy w Ameryce siedzieli jak myszy pod miotłą, nie dawali znaku życia nie dali się poznać Amerykanom czem są i wiele ich jest.

— Oj Walenty, Walenty. My Polacy podobno aż za wiele dajemy znać o sobie Amerykanom. Przejrzyjście no tylko angielskie gazety, a co dzień znajdziecie w nich wzmiankę o Polakach, ale niestety, nie pochlebną. To pobili się i pożgali na polskiem weselu lub chrzcinach, tam polscy chłopcy obrabowali wagon kolejowy ówdzie znowu aresztowano Polaka za dwużeństwo i tak codzień coś nowego, a wszystko to poniża nas w oczach Amerykanów, którzy mają nas za dzikusów, bez oświaty i cywilizacyi, niemal równych Nygrom. Pra-

cujecie tak jak i ja w kopalni, to wiecie jak nas Amerykanie poważają, a te kosztowne patryotyczne szopki nasze, czy im zaimponowały, czy podniosły nas w ich opinii. Nie, bo przeciętny Amerykanin nawet o nich nie wie, bo co go tam obchodzi że "crazy Polak's" urządzają jakąś "parade."

— Tak, ale takie naprzykład wiece protestacyjne o których wspomnieliście, a które Paryski w Ameryce Echu' potępiał i wyśmiewał, czy nie były potrzebne?

— Były potrzebne jak dziura w moście.

— E z wami trudno się dogadać. A czyśmy to na tych wiecach nie nawymyślali Szwabom w uchwalonych rezolucjach, czyśmy to ich nie potępili?

— Prawda, prawda, żeście im nakiwali palcami w butach, tylko, że to kiwanie za drogo nas kosztowało, a pomogło tyle, co na deskę przyłożona wizykatorya.

— To może i kongres polski w Washingtonie mi był potrzebny.

— Owszem był potrzebny, bo kilku wielkościom patryotycznym chciało się na darmość zwiedzić stołeczne miasto, popisać z mową, zapoznać z gośćmi ze starego kraju, no i potem figurować w gazetach jako wielcy ludzie, którym mali a głupi chłopcy opła-

cili z ciężko zapracowanych centów i kosztą podróży i suty bankiet.

— Oj nauczyliście się od Paryskiego wszystko przedstawiać w czarnym kolorze, wszystko krytykować. Może i w tym zgadzacie się z Paryskim, że budowa pomników nie potrzebna, że uniwersytety wędrujące zbyteczne, że szkoła wyższa polska nam nie potrzebna.

— Od Paryskiego nauczyłem się rzeczy pojmować tak jak są, przedstawiać ich sobie we właściwym świetle, a nie zachwycać się nimi jak piękną a nieuchwytną i bezpożyteczną tęczę. Co do pomników to nie miałbym nic przeciw ich budowie, żeby nasz naród był już na tyle uświadomionym, żeby znał dokładnie czyny i zasługi tych ludzi, którym my pomniki stawiamy, a właściwie nie im, ale naszej próżności.

Wędrujące uniwersytety wtedy będą potrzebne i przyniosą jakąś korzyść gdy z nie będzie między nami analfabetów, a dzieci nasze przestaną szwargotać pomiędzy sobą po angielsku, młodzież polska przestanie czytywać angielskie 10-cio centowe roman-sidła i gazety, a będzie trzymać tylko polskie pisma i książki.

Co do wyższej szkoły to pisze się o niej i mówi już od kilkunastu lat, ale rzecz cała

postępuje żółwim krokiem, bo niema między, Polakami jedności. Czego chcą Związkowcy, tego nie chcą Zjednoczenci i Uniści i na odwrót, a pieniądze, za któreby można było już dawno postawić polski wyższy zakład naukowy idą na takie szopki, o których wyżej wspomniałem, a które pochłonęły setki tysięcy dolarów.

— A sokolstwo? Sami przyznacie, że to dobra i pożyteczna organizacya, dobra szkoła dla naszej młodzieży, a przecie Paryski jej nie popiera w swojej gazecie.

— No i cóż z tego, że dobra, a co się z nią stało? Ambitne jednostki spaczyły ją, rozdwoiły, bo im się chciało samym tylko w tej organizacyi rej wodzić i wolnemu sokolowi narzucić przemocą kaptur związkowy i posadzić na związkowem berle pod komendą związkowego sokolnika.

— Czy Paryski i jego gazeta miała się mieszać w ich domowe sprawy i jeszcze bardziej podżegać jednych przeciw drugim? Wszak wiecie, że wtykanie palca między drzwi to niebezpieczna rzecz.

— A to może i w tem przyznacie słusność Paryskiemu, że w swej gazecie nie raz wyśmiewał się z towarzystw wojskowych?

— Mylicie się Walenty. Paryski nigdy nie wyśmiewał się z towarzystw wojskowych; on tylko wykazywał ich niepraktyczności.

— Jakto?

— Zaraz wam to wytłómaczę. Co byście wy powiedzieli waszej starej, gdyby ona zamiast dzieciom kupić baciki za ostatniego dolara kupiła zabawek i cacek?

— Oto bym babsko sprął, żeby popamiętała ruski miesiąc.

— No spruć jak spruć, ale, że byście jej nawymyślali, to więcej jak pewne i to słusznie bo lekkomyślnością jest kupować rzeczy służące do zbytku lub zabawy, gdy jest brak rzeczy niezbędnych do życia. Tak samo i z tymi towarzystwami wojskowymi. Jaki z nich pożytek? Żaden! Stają tylko do parady w wymarszach czy to kościelnych czy narodowych, a czy przyszło wam kiedy do głowy ile to grosza zjadły te wszystkie mundury polskich kosynierów, artyleryi bez armat, ułanów bez koni, strzelców i innych towarzystw wojskowych w całej Ameryce?

Tu już nie na dziesiątki ale na setki tysięcy trzeba liczyć, a za te tysiące ileby to polskich dzieci mogło się kształcić w wyższych zakładach naukowych. Mielibyśmy co

prawda mniej generałów, majorów, kapitanów i innych wojskowych pajaców, ale zato byłoby więcej polskich adwokatów, doktorów, elektryków, techników, więcej Polaków zasiadałoby w krajowych urządach, a tem samem mielibyśmy większe poszanowanie u obcych, liczonoby się z nami jako z narodem kulturalnym, nie krzywdzonoby nas przy każdej sposobności i nie wskazywano szufli i piki jako jedy-nych narzędzi odpowiednich dla nas. Ma-my pomiędzy tymi towarzystwami po kilkunastu a nawet kilkudziesięciu oficerów różnych stopni a pomiędzy tymi oficera-mi czy znajdziecie choć jednego porząd-nego, zdolnego klerka, któryby umiał po-prawnie pisać i czytać? A przecież sami przyznacie, że nam prędeej potrzeba kler-ków jak oficerów od parady.

Zamiast więc brać za złe "Ameryce-Echu" że taką kosztowną zabawkę potę-pia, owszem powinniście to jej pochwalić i przyznać jej słuszność.

— Z tego coście powiedzieli, to wymiar-kowałem, że w Ameryce prócz Paryskiego, niema prawdziwych patryotów Polskich.

Ale czemu ten wielki patryota, a do tego zamożny, nietylko sam centa nie da na skarb Rapperswylski, o którym już wspo-

niałem, ani swoim czytelnikom tego skarbu nie poleca; czemu to on nie agitował za Ligą wszechpolską, czemu niejednokrotnie występował przeciw Związкови Pol. Narodowemu, przeciw Zjednoczeniu, przeciw Unii i innym polskim organizacyom?

—Ileście wywnioskowali, że ja tylko Paryskiego uważam za patryotę prawdziwego. Ja wszystkich czytelników jego gazety uważam za takowych, a dlaczego to wam później wyjaśnię. Teraz wam odpowiem dlaczego Paryski nie namawia nikogo do składek na skarb Rapperswylski. Znacie przysłowie, że bliższa koszula ciała niż sukmana a i wy pewnie dalibyście pierwej kawałek chleba własnym głodnym dzieciom niż obcym a choćby stryjecznym. My tu w Ameryce mamy sami masę własnych potrzeb, na które nam brak funduszów, więc nieroztropnością byłoby wysyłać pieniądze gdzieś na jakieś niejasne i nieokreślone prawie tajemnicze cele, na jakiś tam skarb, który jak dotychczas jest zagadką. Tak bardzo niejasną i podejrzaną. Tak samo ma się rzecz i z tą Ligą Wszechpolską, o której już ucichło, a która nie była niczem więcej tylko jak to Ameryka nie nazywają "blufem," Ameryka-Echo" nie występowała nigdy przeciw żadnej polskiej organi-

zacyi ani przeciw Związkowi ani Zjednoczeniu ani Unii jak mówię przeciw żadnej, tylko jak która z tych organizacyj biła w bęben patryotyczny a krzyczała, że to z armat do wroga wali, to Paryski w Ameryce-Echu pisał. To bęben, wprawdzie wielki i głośny, ale tylko bęben, a nie armata." "Jak przywódcy tej lub owej organizacyi krzyczeli: "My pracujemy" dla Ojczyzny, my ją zbawimy, to Paryski im odpowiadał: "Wy pracujecie dla siebie i dla swych kieszeni."

Jak która z tych organizacyj głosiła, że głównym jej celem jest oswobodzenie Polski to Paryski odpowiadał: "Głównym twoim celem jest asekuracja na życie twoich członków, a patryotyzm i ta szczypta twej działalności w postaci stypendyów i t. p. to tylko wabik na nowych członków." Paryski więc nie występował przeciw polskim organizacyom, on tylko potępiał przesadę, samochwalstwo i nazywał rzeczy po nazwisku, a tego mu za złe brać nie można, owszem dobrze czyni, że tak postępuje, bo taki kubek wody wylany na rozgorączkowane łby naszych przywódców patryotycznych bardzo skutecznie działa, przeprowadzając umysły do równowagi, przynajmniej krępując blagierskie zapędy.

Teraz wam wyjaśnię różnicę między patryotyzmem Paryskiego a patryotyzmem fałszywych patryotów. Widzieliście już nieraz karuzel. Otóż ten fałszywy patryotyzm można przyrównać do takiego karuzelu. W środku na narodowej katarynce łapichłopi wygrywają różne polskie marsze i pieśni, żeby przyciągnąć gawieź i brać od niej po niklu sadowiąc ich za to na malowanych koniach i puszczając maszynę patryotyczną w ruch. Kręci się to wszystko w kółko, podskakując bije pięćmi po bokach drewniane rumaki, wymachuje rękoma, od czasu do czasu jakiś okrzyk wojenny wyrwie się z piersi temu lub owemu oszołomionemu szybką jazdą, bo każdemu się zdaje, że jest na przedzie, że on tylko ma prawo dowodzić tym konnym zastępem, że on go prowadzi na wroga, a tu wszystko obraca się na miejscu aż do zawrotu głowy. Paryski tymczasem ze swoją gazetą i swymi czytelnikami stoi z boku i mówi do nich: "Patrzcie na te duże dzieci jak się bawią. Im się zdaje, że zdążają do celu, a oni w miejscu stoją, a manażerzy karuzelu biorą od nich nikle."

A czytelnicy zdają go się pytać wzrokiem: Jakąż drogę my mamy obrać, żeby

dojść do celu, żeby uzyskać niepodległość Ojczyzny. Wtedy on im pokazuje wążką i prostą ścieżkę, stromą co prawda, ale pewną i mówi: Tędy idźcie to droga pewna, wiodąca do celu, a nazywa się drogą oświaty. Za przewodnika daję wam gazety i książki. Z niemi w rękę idźcie, a pewnie nie zbłądzicie. Bo oświata łamie wszelkie zapasy, daje dobrobyt, umoralnia naród, robi go szlachetnym a przytem silnym. Paryski mówi mu dalej: Wy nie chwalcie się czynami swoich przodków, bo co ojciec albo dziad zdziałał dobrego, to nie syna ani wnuka zasługa. Za własną tylko pracę należy się zapłata i uznanie."

Tak to on poucza swoich czytelników, takiego uczy ich patryotyzmu, a że w ten sposób manażerom karuzelowym psuje biznes, bo jeszcze i tego uczy czytelników, żeby za te nikle, które mają dać za szaloną jazdę, lepiej brukowali książkami i dobremi pismami tę drogę oświaty, to też i nie dziw, że starają się jego głos zagłuszyć wrzaskliwem graniem narodowej katarynki, że mu wymyślają i zniechęcają ku niemu lud, tak jak was, Walenty, zniechęcili.

Te niby patryotyczne gazety ciągle upominają swoich czytelników, żeby nie czytał Paryskiego gazety. On tego nie robi, on

pisze tak: Czytajcie wszystkie pisma, porównajcie, je a potem wybierzcie sobie najlepsze. Czytelnicy pism tych niby patryotycznych to fanatycy pałający nienawiścią do wszystkich tych, którzy nie są jednego z nimi zdania. Czytelnicy "Ameryki-Echa" sądzą rzeczy z rozważą na zimno, bez złośliwości, tak jak człowiek rozumny sądzić powinien. Tromtadraci patryotyczni się unoszą, prawdziwi patryoci rozumują. Tak postępuje Paryski i jego czytelnicy.

— A niech go tam dunder świśnie, ja się już nie chcę uczyć od niego patryotyzmu i jego gazety nie chcę.

— Boście już na tym patryotycznym karuzelu dostali zawrotu głowy i sami nie wiecie gdzie jesteście.

— E, wy mi tu przycinków nie dawajcie, ja sam wiem co robię. Chcecie posłać poszukiwanie, to dobrze, a nie to się obejdzie. — Poszukiwanie wam poszlę, choćby dla tego, żeby was przekonać, iż "Ameryka-Echo" rzeczywiście ma więcej abonentów niż która inna gazeta i że nawet tam na westach ją ludzie czytają, bo jestem pewny, że jak tylko Kasper żyje, to albo sam się do was zgłosi albo wam ludzie o nim doniosą, a gniewać nie macie się o co. Sami za-

częliście wygadywać na Paryskiego, a ja jako jego długoletni prenumeratorem się za nim ująć i zbić zarzuty, jakieście mu robili.

Udobruchany Walenty dobył z kieszeni kawałek papieru z napisaniem poszukiwaniem, a gdy mu Maciej przyrzekł, że zaraz nazajutrz poszle je do "Ameryki-Echa", pożegnał się z gospodarzem i wyszedł.

Była niedziela. Po niesporach Maciej wyszedłszy z kościoła rozmawiał był z kilku znajomymi, gdyż z zakrystyi wyszedł ksiądz wikary i skinąwszy nań, przyzwał ku sobie, a gdy Maciej się ku niemu zbliżył i pozdrowił Pana Boga, ksiądz zagadnął go tymi słowy:

— Słuchajcie no, Macieju; coście to mieli z proboszczem za przeprawę w zeszłym tygodniu gdy był u was po kolekcje?

Bardzo się na was żalił przedemną, że już na wskrośprzesiękliście liberalizmem, że was pisma złe popsuły i że jak tak dalej pójdzie to wątpi o waszym zbawieniu.

Poprostu nie chciałem wierzyć temu, co mi proboszcz o was opowiadał, bo miałem was zawsze za uczciwego i porządnego, a i nie głupiego człowieka i tylko jedno miałbym wam do zarzucenia a mianowicie to,

że odebraliście dzieci ze szkoły parafialnej, a posyłacie je do publicznej.

— Najprzód dziękuję ojcu za dobre o mnie mniemanie. Co zaś do proboszcza, to ten nie miał powodu do żalenia się na mnie. Przyszedł do mnie, chciał kolekty, dałem, a gdy zaczął dysputę ze mną i ganił “Amerykę-Echo,” przedstawiając to pismo jako bezbożne, musiałem stanąć w jego obronie.

— A mówił mi proboszcz, że czytacie “Amerykę-Echo” i że właśnie z powodu tej gazety ma do was urazę, bo nie chcecie zaprzestać jej utrzymywać, choć przekonywał was, że to pismo gorszące i nieodpowiednie dla katolika.

— No i cóż z tego, że mię przekonywał, kiedy ja mu dowiodłem, że tak nie jest i że nie myślę porzucać starego i dobrego przyjaciela, jakim dla mnie jest “Ameryka-Echo,” dlatego tylko, że się proboszczowi nie podoba.

— A czyście to nie słyszeli Macieju co to ten ksiądz misyonarz, który ma misję w drugiej parafii, a który dziś na sumie u nas miał kazanie mówił o złych pismach i złych książkach?

No i cóż z tego, że słyszałem? Przyznam się ojcu, że to całe kazanie mi się nie po-

dobalo, bo żeby przez blisko całą godzinę, zamiast głosić słowo Boże, krytykować z ambony jakieś tam złe pisma i książki, to trochę na śmieszność zakrawa. Ale ja się misyonarzowi nie dziwię. Proboszcz go zaprosił z kazaniem, powiedział mu: Palnij no jegomość o złej prasie, to też palnął i gadał co mu ślina na język przyniosła jak nakręcony fonograf, ale czy z tego kazania kto co skorzystał, to nie wiem, bo mnie ono wcale nie zbudowało, a nawet kilka jego ustępów wcale mi się nie podoba.

— A któryż to ustęp z tego kazania, jeśli można wiedzieć, tak wam się nie podoba?

— Najpierw nie podoba mi się to, że ten ojciec misyonarz potępiając i wymyślając na złe gazety, nie miał odwagi wymienić te gazety po nazwisku, tylko kluczył jak zając w polu tędy i owędy. Już nasz proboszcz to o wiele odważniejszy, bo ten rozmawiając ze mną zeszłego tygodnia w moim domu o "Ameryce-Echu" wprost nazwał tę gazetę złą, no i mogłem mu na to odpowiedzieć jak należy, a misyonarz mówiąc tak ogólnikowo, zabił tylko ludziom klina w głowę, bo tu przecie w Ameryce mamy przeszło czterdzieści gazet polskich

i niejeden nie będzie wiedział, do której to kazanie się odnosiło.

— A to wyście chcieli, żeby kaznodzieja narażał się na procesy? Niechby się tylko poważył nazwać które pismo z ambony po nazwisku i zakazał ludziom je utrzymywać, to wydawca zaraz wyjąłby nań warant i pociągnął do odpowiedzialności sądowej.

— Coby wydawca takiego potępionego publicznie z ambony pisma zrobił, tego nie wiem, ale to wiem, że Chrystus Pan, gdy swego czasu nauczał na świecie, choć wiedział, że go czeka męka Krzyżowa, nie obawiał się wytykać błędów faryzeuszom, a i Jego Apostołowie śmiało głosili słowo boże, wypowiadali poganom prawdę w oczy, nie dbając, że poniosą za to śmierć męczeńską, bo prawda ma to do siebie, że się nie obawia prześladowania.

— A czy to misyonarz nie powiedział, że kto chce czytać jaką książkę lub jaką gazetę, a nie jest pewnym czy ona jest dobrą lub złą, niech idzie do swego proboszcza i zasięgnie w tym względzie jego porady.

— E, jegomość, jednemu podoba się córka a drugi woli matkę. Tak to i z tymi gazetami. Jeden ksiądz zachwalałby

gazetę, bo ani sami z sobą nigdy na jedno swoim parafianom tę a inny znów inną gazetę, bo oni sami ze sobą nigdy na jedno zgodzić się nie mogą, pominąwszy już to, że wtedy ksiądz byłby pewnego rodzaju agentem gazeciarskim, co ubliżałoby jego powadze i stanowisku kapłańskiemu. A zresztą ostatni to już głupiec, co w wyborze gazety radzi się drugich, a nie swego rozumu. Ja jak kupuję trzewiki, to je zawsze przymierzam na własną nogę, bo jakbym po nie posłał sąsiada a choćby proboszcza, to albo by mi nogę odparzyły, albo dostałbym na każdym palcu odcisk.

Zresztą ojcze, dajmy pokój kazaniu, kto głupi, niech się idzie księdza radzić co ma nie tylko czytać, ale nawet jeść na obiad, albo na którym boku spać w nocy. Jeśli są złe pisma, to niech księża zrobią tak, jak ja to już proboszczowi powiedziałem.

Niech się postarają o postawienie ich na indeksie kościelnym, to jest niech wyższa władza kościelna po gruntownej rozprawie wskaże je ogółowi jako złe i jak apetekarz na trujących medycynach nalepi na nie etykiety z napisem "trucizna," wtedy każdy będzie wiedział, że to trucizna, a więc niebezpieczna rzecz. Ale tym aptekarzem niech nie będą pojedyn-

czy księży, bo ci nie znając się sami na składnikach chemicznych tej lub owej mikstury, to jest gazety i na najczystszych ekstrakcie mięsny gotowi nalepić etykietę z napisem trucizna, dlatego tylko, że raz kiedyś skosztowawszy tego ekstraktu, a mając osłabiony żołądek albo mając w zastosowaniu do gazet, za słabe głowy, dostali rozwolnienia, choć gdyby się do tego ekstraktu przyzwyczaili i używali go sami częściej, to by się przekonali, że to rzecz dobra, wzmacniająca ciało, a w znaczeniu moralnem ducha.

— A to wy pewnie i tę waszą "Amerykę-Echo" macie za taki ekstrakt mięsny.

— Pewnie że tak. Od kiedy go używam, a używam go od ośmiu lat regularnie po dawce co tydzień, czuję się umysłowo znacznie lepiej.

— No, no, jeszcze się gotowi przeładować tym ekstraktem Paryskiego, to jest przeuczyć.

— Przeuczyć to nie, bo właśnie nauka ma to do siebie, że nigdy jej za wiele, owszem zawsze jej mało, a niestety bardzo wielu jest takich i to nawet między księżmi, że jej jeszcze mają za mało i tym właśnie "Ameryka-Echo" bardzo by się przydała.

— To wy za złe bierzecie misyonarzowi, że z ambony krytykował złe gazety i złe pisma.

— Nie, jabym mu za złe nie brał, gdyby rzeczywiście krytykował złe pisma t. j. nazwał je po nazwisku i wykazał dobitnie dlaczego są złemi, bo ambona właśnie jest odpowiedniem miejscem do tego, a tak księżom jak i dziennikarzom przysługuje prawo krytyki i piętnowania zła. Tylko niech księża nie straszą ludzi z ambon złemi gazetami jak niańki dzieci, że jak nie będą grzeczne, to bobo do nich wylezie, bo ludzie to nie dzieci, oni chcą wiedzieć gdzie to bobo mieszka czy na Dzionkszy-nie w Toledo, czy na Division w Chicago, czy Mitchell ul. w Milwaukee i jak wygląda, ma dwie czy cztery nogi, z rogami czy bez, z ogonem czy kuse, bure czy pstrokate, słowem niech im je wyraźnie pokażą mówiąc: Patrzcie, oto jest to złebobo, to jest ta a ta gazeta zła, a zła dlatego i dlatego, zła dajmy na to dlatego, bo wam nie każe wierzyć w Boga, bo wam zaleca pijaństwo, rozpustę, nieposzanowanie starszych, pochwała i popiera naciągaczy i wyzyskiwaczy; wtedy księża spełnią swój obowiązek, będą mieli zasługę przed Bogiem i ludźmi i nie okryją się śmiesznością.

Ale takie przelewanie z próżnego w próżne, takie szamotanie się na kazalnicy i wymyślanie na urojonego stracha, to tylko politowania i śmiechu warte.

— Ej, ej Macieju, widzę że źle z wami, że prawdę proboszcz powiedział, że was ta "Ameryka-Echo" do gruntu popsła, kiedy nawet kazania księży ośmielacie się krytykować.

Bibl. Jag.

— Broń Panie, ja kazań nigdy nie krytykuję, ja krytykuję tylko "speech'e," a kazanie a "speech" to całkiem co innego.

Kazanie, to nauka i nauka na temat ewangelii św. na temat religii, a "speech" czyli mowa może być na dowolny temat: o słońcu, o padalcach, o chemii, o medycynie, o literaturze, w ogóle o czym nie bądź, a ksiądz, który z ambony prawi na który z tych tematów, nie jest już kaznodzieją, tylko mówcą i jak każdy mówca podlega krytyce, tem bardziej, gdy mówi nie do rzeczy.

— To wy byście chcieli księży ograniczyć co i o czym mają z ambony mówić. Chcieilibyście niejako kredą zakreślić im to koło religijnych tematów, którego nie wolno im przekroczyć.

— I to nie, owszem, niech mówią o czym chcą, niech lud pouczają, bo każda nauka

człowieka uszlachetnia, zbliża go do Boga, bo i Chrystus Pan nie był niczem innym jak tylko Mistrzem nauczycielem, ale niech to czynią bez uprzedzenia, owarcie bez insynuacji, bez złośliwych wycieczek, niech uczą a nie podżegają, niech koją a nie jątrzą, a wtedy nie narażą się na nieprzychylną krytykę, wtedy lud będzie ich uważał za prawdziwych uczni Chrystusowych, a nie za faryzeuszy, zwłaszcza jeśli przytem będą świecili dobrym przykładem, wtedy prawdziwie będą się mogli zwać solą ziemi.

— No, widzę, że się dziś z wami nie dogadam, to wam ta "Ameryka-Echo" tak w głowie przewróciła, że się uważacie mądrzejszym być od księży.

Zapewne i pod wpływem tej gazety, która jak wiem sam nieraz krytykowała szkoły parafialne, posłaliście swe dzieci do szkół publicznych.

— Po części tak, a po części nie. Prawda, że "Ameryka-Echo" zwróciła mą uwagę, że szkoły parafialne nie są takie jakimi być powinny, że pod względem naukowym nie dorównują szkołom publicznym, ale przeczytawszy to, nie wierzyłem tak na słowo, dopiero zwróciwszy bacniejszą uwagę na postęp w naukach mych dzieci,

przekonałem się że "Ameryka-Echo" miała słusność, że szkoły parafialne stoją niżej od szkół publicznych, no i dzieci z początkiem roku szkolnego posłałem do tych ostatnich.

— A to z was dobry katolik. A czy to nie wiecie, że kościół katolicki pod grzechem śmiertelnym zakazuje posyłania dzieci do szkół publicznych, bezwyznaniowych, że gdy pójdziecie do spowiedzi i powiecie księdzu, że wasze dzieci chodzą do szkół bezwyznaniowych, to wam nie da rozgrzeszenia?

— Tak, ja to wiem, ale wiem i to, bo i wy księża często tego z ambony nauczacie, że czwarte przykazanie boskie wkłada na rodziców obowiązek starannego nie tylko fizycznego ale i moralnego umysłowego wychowania dzieci, a przykazania boskie stawiam wyżej nad wszelkie przepisy kościelne, bo pierwsze stanowił sam Bóg, a drugie tylko ludzie; pierwsze są i pozostaną niezmiennie do końca świata, drugie zmieniają się często, idą z postępem czasu, bo iść muszą, to co było dobrem przed czterema lub trzema wiekami albo nawet przed wiekiem, dziś już jest niedostatecznym, musi być uzupełnianem, nieraz zupełnie zniesionem. Przykazania boskie o-

bowiązują cały świat chrześcijański, kościelne rozporządzenia różne są w różnych krajach, ba nawet dyecezyach.

— Choćby nawet i tak było, to wy jako katolik, powinniście się stosować do tych, jakie obowiązują w tym kraju i w tej dyecezyi w jakiej mieszkacie, bo inaczej grzeszycie ciężko. A tu wyraźnie przepisy kościelne nakazują rodzicom katolickim posyłać dzieci do szkół parafialnych, bo tylko w tych szkołach uczą się dzieci religii katolickiej. A znowu jako Polak jesteście obowiązani posyłać dzieci do szkół polskich, żeby się nauczyły języka ojczystego i nie wynarodowiły. Tak orzekli biskupi na Concilium Baltimorskiem, tego wymaga po was wasz obowiązek narodowy.

— To wszystko dobrze, ojcze, biskupi zjechali się, debatowali, radzili i w końcu orzekli, że tak ma być a nie inaczej, że katolicy tylko do szkół katolickich powinni posyłać dzieci, moje znów sumienie narodowe mówi mi posyłaj dzieci do szkół polskich, ale ci biskupi nie wglądają w to, czy te szkoły katolickie stoją na równi ze szkołami krajowemi, oni nie wglądają w to, jak, kto i czego naucza w tych szkołach przez nich poleconych. Moje znów su-

mienie ojcowskie staje znów przeciw sumieniu patryotycznemu i powiada: Maćku Polaku poszlesz twe dzieci do szkoły polskiej parafialnej, żeby się nauczyły po polsku, żeby się nie wynarodowiły, bacz no, czy dobrze robisz, boś ty Maćku ojcem, bo twój obowiązek dbać o to, żeby twój syn był nietylko Polakiem i od kilofa i szufli jak ty, ale żeby otrzymał takie wykształcenie, któreby mu dało lżejszy i sporszy kawał chleba do ręki i to nie postny, ale jeśli możebne ze szperką, a choćby z masłem. No i zebrało się nas trzech: Maciej katolik, Maciej Polak i Maciej ojciec i dalej porównywać szkoły parafialne z nauką religii i polskiego języka ze szkołami publicznymi....

— Aha, porównywać, i nie porównywać, ale potępiać, bo Paryski potępiał je w swojej gazecie, więc i wy za nim jak za panią matką: Szkoły parafialne do niczego, szkoły parafialne nic nie warte, a nie zastanowiliście się na tem, że "Ameryka-Echo" jako pismo bezreligijne dlatego właśnie potępia te szkoły, że w nich uczą się dzieci religii.

— Otóż źle ojciec sądzi i Paryskiego i jego gazetę. Jak już powiedziałem, "Ameryka-Echo" nie potępiała nigdy szkół parafiat-

nych. Ona tylko pisała mniej więcej tak: W szkołach parafialnych uczą tego i tego tak i, tak a w szkołach publicznych znów tak i tak, a rezultaty tych nauk są takie i takie. Nie jest to więc potępienie, ale porównanie, a że wypada na niekorzyść szkół parafialnych to wina ani Paryskiego ani "Ameryki-Echa" ani moja, tylko wadliwego systemu tych szkół, wadliwego ich urzędnictwa, nieodpowiednich i nie kwalifikowanych nauczycieli.

— A, czego chcecie od tych szkół? Czy to siostry nauczycielki nie uczą w nich jak należy i religii i polskiego języka, a prócz tego i wszystkich tych przedmiotów, jakich uczą w szkołach publicznych?

— Właśnie, że nie uczą jak należy, bo jeśli ktoś sam czegoś gruntownie nie umie, tego i drugiego nauczyć nie może, zwłaszcza jeżeli nie ma daru nauczania, t. j. zdolności pedagogicznych, bo żeby drugiego uczyć, nie wystarczy jeszcze samemu umieć, ale trzeba mieć specjalny do tego dar udzielania drugiemu tego co się umie i jak się to dowiedziałem z "Ameryki-Echa," taka umiejętność nauczania drugich a raczej wychowania nazywa się po grecku pedagogiką. Tej to właśnie po największej części brak siostrom nauczycielkom w szko-

łach parafialnych. One uczą wprawdzie dzieci, ale uczą w każdej niemal szkole, prawie w każdej klasie podług innego systemu, a raczej bez żadnego systemu, nawet nie mają jednakowych podręczników naukowych. Ot uczy się dzieci, jak to mówią, aby handel szedł, aby je przepchać do pierwszej Komunii św., a czy się te dzieci czego w tych szkołach nauczą lub nie, o to głowa nikogo nie boli, ani biskupów, którzy układali Concilium Baltimorskie, ani księży proboszczów, a tem mniej siostry nauczycielki.

Skończyło dziecko szóstą czy siódmą klasę parafialną, ma lat trzynaście, marsz z niem przed ołtarz do pierwszej Komunii św., a potem w świat, a czy i jaką sobie da radę na tym szerokim świecie z tą odrobiną nauki, jakiej liżło w szkołach parafialnych, to nikogo nie obchodzi. Szufla i kilof zawsze się dlań znajdzie, a wystarczyły dla ojca, to niech wystarczy i dla syna.

— Ej, Macieju, wy bo się bardzo czarno zapatrujecie na szkoły parafialne. Przecież i w nich jest wiele siostr nauczycielek uzdolnionych i w nich dzieci wieleko rzy-
stają, a główna rzecz uczą się religii, pod-

czas gdy w szkołach publicznych o Bogu wcale nie słyszą.

— Ze w niektórych szkołach parafialnych są i uzdolnione siostry nauczycielki, temu nie przeczę, ale jedna ani dwie jaśkółki jeszcze nie stanowią o wiosnie. Większość z nich, to dziewczęta wysłe niedawno z takich szkół parafialnych, w jakich obecnie same nauczają, a które gdy im przyjdzie napisać zdanie jakie, to się namyślają czy rzeka pisze się przez rz czy przez ż. W religii cała ich umiejętność zasadza się na małym katechizmie, na historii biblijnej, na modlitewkach, no i na pieśniach nabożnych, to też i dzieciom nie dadzą więcej jak same mają. Taka zewnętrzna tylko, pobieżna a nie gruntowna nauka religii, to jak cienka warstwa lakieru, która nie przeniknąwszy do gruntu, do duszy dziecka, gdy to wyjdzie ze szkoły, zetrze się zeń wnet, tak, że w zetknięciu się ze światem, zaledwie ślad katolicyzmu na niem pozostanie i albo zobojętnieje całkiem dla katolicyzmu, albo ograniczy swą religię na powierzchownych jej formułkach, nie zdając sobie sprawy czego ta religia po niem wymaga. Będzie chwalić Boga usty w pieśniach i modlitwach, ale nie czynami. Ot będzie to poprostu żywy

fonograf nakręcony na katolicką nutę. Więc pod tym względem szkoły parafialne chybiają celu, jak go chybiają i pod względem wychowania patryotycznego.

— Jegomość, jegomość ksiądz proboszcz kazali ojcu powiedzieć, żeby ojciec poszli zaraz do Franków Poturbickich, bo ona podobno nagle zachorowała — przerwał Maciejowi kościelny, który zadyszany nadbiegł od strony plebanii.

— Zaraz zaraz idę — odpowiedział ksiądz wikary a zwracając się do Macieja dodał. — A wy Macieju tak za jakie dwie godziny zajdźcie do mnie na plebanie, bo nie skończyliśmy jeszcze naszej rozmowy i chciałbym was przekonać, że do szkół parafialnych macie uprzedzenie i że nie są one tak złe jak powiadacie, a tylko "Ameryka-Echo" i inne podobne złe pisma niesłusznie je krytykują. No co, przyjdziecie?

— I owszem, dobrodzieju, przyjdę, choćby dlatego, żeby ojciec nie myślał, że Maciej to lira, która tak gra jak nią gazeta kręci.

— No to do widzenia za dwie godziny u mnie na plebanii. To mówiąc wikary pobiegł spiesznie na plebanie, a Maciej zwrócił się ku domowi.

W umówionym czasie, gdy Maciej przyszedł na plebanię i na zaproszenie księdza wikarego usiadł w jego pokoju, ksiądz zaczął przerwana pogadankę w te słowa:

— Mówiliście, że w szkołach parafialnych dzieci tylko powierzchownie uczą się religii, ale w szkołach publicznych wcale nie, to też i pogańska między nimi moralność. Na złe skutki takiego bezreligijnego wychowania w szkołach publicznych zwrócili uwagę nietylko katolicy, ale i ludzie uczeni innych wyznań i w ostatnich czasach coraz częściej odzywają się głosy za tem, żeby w szkołach publicznych uczono także i religii, bo ta jest podstawą moralności. To, co ma dopiero kiedyś być zaprowadzonym w szkołach publicznych, szkoły parafialne już posiadają.

— I cóż z tego, że posiadają, kiedy nie w takim stopniu, w jakim posiadać powinny. Powiedziałem już ojcu co myślę o postępach dzieci w nauce religii, jakiej im udzielają siostry nauczycielki, a przejrzawszy statystykę zbrodni i przestępstw popełnianych przez byłych wychowanców szkół parafialnych, łatwo się można przekonać, że ta cienka powłoka religijna, jaką siostry nauczycielki opokostowały szych wychowanców, nie jest dostateczną

ochroną przed zepsuciem i demoralizacją.

Sama religia, jakaby nie była, nie uszlachetni ani nie umoralni ludzkości; może to uczynić tylko oświata.

— A to wybyście chcieli oświaty bez religii; kubek w kubek jak Paryski, który wiecznie w swej gazecie gardluje za oświatą, a o wierze, o Bogu nigdy ani słówkiem nie wspomni.

— Owszem, jegomość, ja religię uważam za jeden z najważniejszych czynników oświaty, ale oburzam się, gdy widzę, jak ten czynnik bywa nadużywanym do różnych niegodnych i niemoralnych celów.

Co zaś do Paryskiego i jego gazety, to on nie jest ani biskupem ani nawet księdzem, żeby wykladał naukę religii i to jeszcze w gazecie; od tego są kościoły z ambonami i szkoły katolickie z katechetami, a nie gazety. Każdy niech pilnuje swego. Fizyki niech uczy fizyk, chemii, chemik religii, ksiądz, a gazeciarski gazety. Lecz temu ostatniemu przysługuje prawo krytyki, gdyby zauważył, że który z tych nauczycieli nie uczy tak jak należy, albo nadużywa nauki do osobistych celów.

— Niema co mówić, ładnieście to wszystko wykręcili na swoje, ale dlaczego nie

chcecie szkołom parafialnym przyznać zasługi pod względem patryotycznego, polskiego wychowania dzieci? Przecież, żeby nie te szkoły, to polskie dzieci nie umiałyby ani czytać ani pisać po polsku, nie miałyby wyobrażenia o polskiej historii, stowem wynarodowiłyby się zupełnie, przestałyby być Polakami.

— Widzi jegomość, z tą nauką polskiego w szkołach parafialnych jota w jotę to samo, a może jeszcze i gorzej jak z nauką religii. Niby to się uczą po polsku, ale z taką polszczyzną pożał się Boże. Niech mi ojciec wskaże jedno na sto dzieci uczęszczających do szkół parafialnych, któreby poprawnie czytało i pisało po polsku; bo o polskiej historii to już ani mówić.

Mój Wicek chodził do parafialnej szkoły przez pięć lat, a czego się nauczył? Czytanie szło mu jak po grudzie, z pisaniem miał zawsze kłopot, bo nie wiedział nigdy kiedy na końcu napisać *i*, a kiedy *y*, z geografii nie miał pojęcia gdzie leży Kraków a gdzie Warszawa, a z historii polskiej to słyszał coś o Mieczysławie I, o męczeństwie św. Wojciecha i o zamordowaniu św. Stanisława biskupa przez króla Bolesława.

— A to może wasz Wicek taki hebes, że mu nauka nie laźła do głowy i dlatego nic, albo bardzo mało w szkole skorzystał.

— Nie, ojczy; co miesiąc przynosił ze szkoły świadectwo z dobrym postępem, a jeśli go ojciec nazywa hebesem, to takich hebesów pełno w szkołach parafialnych i nie dziw, bo gdzie hebesy uczą, — ztamtań tylko hebesy mogą wychodzić.

A takie hebesy, wyszedłszy ze szkół parafialnych, instynktownie czują, że im czegoś nie dostaje, że ta szczypta nauki, jaką im dano w szkołach parafialnych, nie stawia ich na równi z Amerykanami, wychowanymi w szkołach publicznych, że tej trochę angielszczyzny, jakiej ich siostry nauczyły, ot tak piąte przez dziesiąte, nawet do przeczytania i zrozumienia angielskiej gazety nie wystarcza; zamiast mieć zamiłowanie do polskości, pokochać polski język, gardzą nim, wstydzą się go używać i tak w życiu publicznem jak i prywatnem posługują się jedynie angielszczyzną i to przeważnie lichą, nabytą więcej z ulicy jak ze szkoły.

— Oj źle sądzicie Macieju; gdyby nie te tak przez was krytykowane polskie szkoły, to coby się działo z naszą emigra-

cyą? Nasza młodzież byłaby już nawskróś amerykańską. One to są temi twierdzami, chroniącemi nasze dzieci od wynarodowienia, ich to jest zasługą, że nasza młodzież przynajmniej modli się z książki po polsku i choć jako tako włada swoim językiem. Grubą niewdzięcznością i niesprawiedliwością jest wymyślać na te szkoły, które od samego początku polskiej emigracyi do Ameryki zajmowały się wychowaniem religijnem i narodowem naszej młodzieży, które w tym kierunku położyły takie olbrzymie i dla katolickiego kościoła i dla ojczyzny zasługi.

— Nikt też tych zasług im nie ujmuje ani zaprzecza, ale to, co było dobrem przed kilkudziesięciu laty, dziś już nie wystarcza. W początkach nasza emigracya była nieliczną, była kroplą w amerykańskim morzu, jej wymagania były skromne, więc i szkółki parafialne jakie były, były wystarczające; dziś co innego. Wzrastając liczebnie, nietylko zwróciliśmy uwagę Amerykanów na naszą narodowość, ale z konieczności musieliśmy wziąć udział w życiu publicznem w polityce, przyjęliśmy na się nowe obowiązki, a mianowicie obowiązki obywateli amerykańskich, a chcąc tym obowiązkom sprostać, koniecznie mu-

simy stanąć na tym samym poziomie oświaty, na jakim stoi przeciętny obywatel amerykański; wymaga tego po nas nie tylko honor narodowy, ale i własny interes, wzgląd na dobrobyt, na udział w rządzie tym krajem, który się stał dla nas drugą ojczyzną. Na ten poziom nie wzniosą nas nasze szkoły parafialne takie, jakie teraz mamy tak długo, dopóki w systemie naukowym nie staną na równi ze szkołami publicznymi. Konieczną więc jest reforma tych szkół, a dopóki ta nie nastąpi, niech żaden ani patryota ani ksiądz ani nawet biskup nie dziwi się, że zdrowo zapatrujący się na rzecz i dbający o przyszłość swych dzieci rodzice katoliccy poszłą swe dzieci do szkół publicznych.

— Łatwo to się mówi: zreformować szkoły parafialne, wyrzucić siostry nauczycielki, a zastąpić je kwalifikowanymi nauczycielami lub nauczycielkami, ale czy taki wykwalifikowany nauczyciel lub nauczycielka zechcą tak tanio uczyć jak uczą siostry zakonne? Niechno taki Paryski i inni krytycy naszych szkół powiedzą, żądają wziąć fundusze na ich reformę, albo niech lepiej dadzą takich uzdolnionych nauczycieli, którzyby chcieli tak jak sio-

stry uczyć za dwadzieścia dwa dolary miesięcznie albo jeszcze i taniej.

— Coby na to Paryski odpowiedział i jakąby dał radę, tego nie wiem, ale to wiem, że na mój chłopski rozum rada by się na to znalazła.

— Ciekaw jestem bardzo tej waszej, jak powiadacie, chłopskiej rady posłuchać.

— Powiedziałbym ojcu, ale tę moją radę gotów ojciec uważać za herezyę.

— Ho, ho, aż tak? To widać musi to być jakaś niezwykła rada; ale mówcie, ja się nie zgorszę a radbym wiedzieć, coście takiego wymyślili, bo przyznam się wam, że nieraz sam już zastanawiałem się nad tem, jakby powiększyć dochody naszej parafii, a proboszcz aż w głowę zachodzi z kąd opłacić procenta i choć w części spłacić długi parafialne.

— Ot widzi ojciec, rada Maćka taka: Dbajmy więcej o rzeczywistość, prawdziwą chwałę Bożą, a i długów parafialnych prędej się pozbędziemy i będziemy mieli więcej funduszów na ulepszenie naszych szkół.

— No, teraz to już was zupełnie nie rozumiem. A czy my to nie dbamy o chwałę Bożą, czy ta chwała jaką mu oddajemy

jest tylko powierzchowną, czy te liczne kościoły, jakie Polacy w Ameryce pobudowali nie są dowodem ich przywiązania do religii katolickiej, czy ich ofiarność nie wypływa z pobudek religijnych, z gorliwości o chwałę Boską?

— Tak, ale tę gorliwość pojmują fałszywie a dłaczego, zaraz to ojcu wytłumaczę. Wie ojciec wiele w tym roku wydano w sąsiedniej parafii podczas czterdziesto-godzinnego nabożeństwa na upiększenie ołtarza? Ni mniej ni więcej tylko trzynaście setek. A przecież ta parafia zadłużona po uszy, jej szkoła nie przewyższa w niczem innych szkół parafialnych; więc czy to nie lekkomyślność wysypać tyle na raz pieniędzy na upiększenie ołtarza niby to pod pretekstem chwały Bożej, a w rzeczywistości dla zaspokojenia ambicyi proboszcza, żeby ludzie mogli mówić: "Patrzcie, jakiego to mamy proboszczulka, jak on to dba o chwałę Bożą, jak to pięknie przystroił kościół na czterdziestkę." A te trzynaście setek czy nie opłaciłoby conajmniej jednego zdolnego nauczyciela, któryby kilkudziesięciu dzieciom udzielał nauki jak należy? A to nie jeden ksiądz i na niejedno pozwala sobie na takie luksusowe wydatki, że już nie wspomnę

o plebaniach-pałacach, o dwudziestu pokojach, a choćby i o kościołach, budowanych nad możność i stan parafii, podczas gdy szkoły, te — jak ich nazywacie — twierdze wiary i patryotyzmu, są traktowane po macoszemu. Chwała Boża nie polega na zewnętrznej okazałości kościołów, na wspaniałości plebanij, na zewnętrznej pompie, ale na gruntownej wierze, na dobrych obyczajach, a te dają tylko dobre wychowanie, dobra szkoła.

Wspomnial ojciec o niskiem wynagrodzeniu, jakie siostry nauczycielki pobierają w szkołach parafialnych, otóż muszę ojcu zwrócić uwagę, że to wynagrodzenie nie jest znów tak niskie, jak się na pozór wydaje. Wprawdzie biorą tylko dwadzieścia i coś dolarów miesięcznie, ale niech ojciec doliczy do tego wolne pomieszkanie, opał, światło, urządzenie domowe itp., to wszystko razem wyniesie pokaźną sumkę, nie mówiąc już nic o rocznej kolekcje, o nikłowych składkach na imieniny to siostry Prospery, to Kunegundy, to innej jakiej siostry, czy to nauczycielki, czy przełożonej, nie mówiąc nic o pokaźnym dochodzie z handlu świecami, welonami, medalikami itp. w sezonie przystępowania dzieci do pierwszej komunii świętej, choć

ten handel psuje interes zawodowym biznesistom, mającym z niego źródło utrzymania dla siebie i swych rodzin i choć ten handel ustawami kościelnymi i regułą zakonną jest siostrom wzbroniony.

— Widzę, że z was zacięty wróg sióstr zakonnych, że macie do nich uprzedzenie i radzibyście przepędzić je ze szkół parafialnych na cztery wiatry.

— Źle mnie ojciec zrozumiał. Ani uprzedzenia nie mam, ani nienawiści nie żywię ku siostrom nauczycielkom. Mnie wszystko jedno kto w szkole uczy, byleby uczył dobrze, byleby nie demoralizował dzieci szkolnych.

— A tego to już za wiele; dotychczas słuchałem was cierpliwie, ale kiedy lżycie siostry nauczycielki, robiąc im zarzut, że demoralizują dzieci, to wam muszę powiedzieć, że to nie po chrześcijańsku, brzydko poprostu napadać na bezbronne kobiety, a do tego zakonnice.

— Niech się ojciec nie unosi, bo niema czego. To, co powiedziałem nie cofam, ale zarzucając siostrom demoralizację dzieci, nie miałem na myśli dawania przez siostry złego przykładu dzieciom albo namawianie je do jakich złych czynków; ja im zarzucam tylko nietaktowne postępo-

wanie z dziećmi, niesprawiedliwe traktowanie, uprawianie parafialnej polityki w szkole.

— To znowu coś nowego, czego nie rozumiem. Wytłómaczcie no jaśniej, na czym polega ten nietakt, ta niesprawiedliwość siostr i ta ich politykierka.

— I owszem. Czy to taktownie i sprawiedliwie faworyzować dzieci zamożniejszych rodziców, dając im pierwszeństwo czy to na procesyach, czy na innych występach publicznych dlatego tylko, że je stać na jedwabne sukienki? Czy to nie pobudza u jednych zarożumiałości, a u drugich zazdrości? Tego w szkołach publicznych niema; tam wszystkie dzieci traktowane są równo, ubogich czy bogatych rodziców, białe czy czarne, polskie czy angielskie.

Tam nauczyciele nie pytają się uczni jaką gazetę ich rodzice czytają, czy krytykują rządy majora miasta albo innego jakiego urzędnika lub nie, bo wiedzą, że zakłady naukowe i wychowawcze winne być wolne od wpływów politycznych jakiejkolwiek natury. Inaczej się dzieje w szkołach parafialnych. Tam siostry pytają się dzieci jaką gazetę ich rodzice czytają, a gdy się dowiedzą, że taką, która nie podoba się proboszczowi, to wręcz mówią takiemu

dziecku, że jego ojciec pójdzie wprost do piekła i to na same dno, bo czyta gazetę bezbożną, potępioną przez proboszcza. I tym ojcom nie obiecują nieba, którzy w jakikolwiek sposób narazili się proboszczowi. A takie nietaktowne postępowanie takie uprawianie polityki parafialnej w szkole podkopuje powagę rodzicielską, zmniejsza szacunek dzieci ku rodzicom, a więc demoralizuje.

— Suma sumarum, wszystko coście tu powiedzieli przemawia za tem, że należy szkoły parafialne, jako do niczego zamknąć, a wszystkie polskie dzieci napędzić do szkół publicznych, niech tam się kształcą choćby bez religii i bez polskości. Tego właśnie pragnąłby Paryski i wszyscy ci, którym szkoły polskie są solą w oku.

— Znowu ojciec posądza Paryskiego o zamiary, jakich choćby ze względu na własny interes niema. Paryski lepiej od niektórych księży rozumie swój interes. On wydaje polskie pismo, a więc dla Polaków, a z kądze ich weźmie jak się polska młodzież wynarodowi a przyptyw emigracyjny zmiejszy? Kto wtedy będzie czytał jego gazetę? Wy, księża polsko-amerykańscy, a przynajmniej większość z was, niewiele o to dbacie, bo zabraknie polskich baranków,

to wam biskupi dadzą owieczki deczące po angielsku, ale tu was może spotkać zawód, bo z chwilą wynarodowienia Polaków i trzódka wiernych się zmiejszy, odpadnie wielu od kościoła katolickiego, a tem samem i mniej potrzeba będzie pasterzy i w tem właśnie leży złe zrozumienie własnych interesów przez większość polsko-amerykańskich księży, którzy potępiają szkoły publiczne, a nie postawią szkół polskich na takim stopniu, żeby mogły z nimi rywalizować. Paryski uznaje wprawdzie szkoły publiczne za lepsze pod względem pedagogicznym od szkół parafialnych, bo zwykł sądzić rzeczy sumiennie, oddać każdemu sprawiedliwość, ale wołałby z pewnością, żeby nasze polskie szkoły były takimi, jakimi być powinny.

Że nie są takimi najlepiej dowodzi to, że sami księża, którym oświata ludu bardziej leży na sercu i którzy dalej widzą nad koniec swego nosa, nie od dziś już mówią o reformie szkół parafialnych, o założeniu seminarjum nauczycielskiego, ale te roztropne głosy przebrzmiewają bez echa a szkoły parafialne jak były za Boga Ojca, tak są i za Boga Syna i takie pewnie będą i za Ducha świętego, bo u nas dobrych

projektów wiele ale funduszków na dobre i pożyteczne rzeczy zawsze brak.

— Bądź co bądź, ale wy jako katolik i Polak powinniście swoje dzieci posyłać do polskiej szkoły, bo inaczej i po polsku przestaną mówić i o religii nie będą miały najmniejszego wyobrażenia, a ich dusze będziecie mieli na swoim sumieniu.

— Regliiii i po polsku nauczę je w domu tyle ile sam umiem, a wykształcenie dam im w szkole publicznej, bo nie chcę ich puszczać w świat z kawałeczkiem lukrowanego patryotyzmem i pianką religijną i pierniczka, ale żeby głodu umysłowego nie cierpiały, chcę im dać do ręki kawał, choćby niespożyty, na jaki mnie stać, pożywnego, dobrze wypieczonego chleba, a takiego w piekarni parafialnej nie dostanę.

— Dobrze, to wy swoje dzieci nauczycie religii, ale nie każdy rodzic może i ma czas po temu. Cóż się więc z takimi dziećmi stanie; takie będą żyły bez religii, jak poganie.

— To już wasza rzecz, księżę. Rozbiegają wam się jagnięta z pastwisk parafialnych, nie mając dostatecznej paszy, szukajcie ich po sąsiednich, a bojąc się, żeby się nie potruły jakim bezwyznaniowem

zicem, podrzućcie im choć raz na tydzień, w niedzielę na nauce katechizmowej środki przeciw trującej.

— Widzę, że was nie przekonam, że Paryskiego gazecie więcej wierzycie jak słowom kapłana i szkoda tylko czasu na rozmowę z człowiekiem upartym i uprzedzonym.

— Ani uprzedzonym ani upartym nie jestem, a Paryskiemu o tyle wierzę, o ile jego poglądy zgadzają się z moimi, co właśnie w tym wypadku ma miejsce. Co zaś do czasu, jaki ojcu zabrałem, to bardzo przepraszam, ale przyszedłem na wyraźne wezwanie, a że się nie możemy na jedno zgodzić, to nie moja wina.

Powiedziawszy to Maciej i widząc, że ksiądz wikary nie ma ochoty do dalszej gawędy, pożegnał go i wyszedł.

— No aleście się gdzieś wysiedzieli; czekam na was już przeszło godzinę i trudno się was doczekać.

Temi słowy przywitał powracającego z plebanii Macieja Kasper Wgórodmuch, zamożny salunista i sąsiad Macieja, który zaszedł do niego, a nie zastawszy czekał, rozmawiając tymczasem z Maciejową, która zapewniła go, że mąż wnet

przyjdzie, bo poszedł tylko na chwilę na plebanię do księdza wikarego.

— A no zabawiłem się trochę, bo mi ksiądz rozstrząsał sumienie, że posyłałam dzieci do szkoły publicznej a nie do parafialnej; no i nawet przemówiliśmy się trochę. Ale co tam koło was, Kasprze — zapytał Maciej siadając obok gościa.

— Wszystko stare. Miałem wprowadzić trochę trublu przez tego Dziana co to był na borcie u Kurzejów, a za którego postawiłem bejl gdy go aresztowano za rabunek kar. Spalił jucha buty i już myślałem, że mój bejl przepadnie, i że trzeba będzie beknąć za niego pięćset dolarów, ale że to człowiek ma znajomości między politykierami, a wybory niedaleko, więc udało się całą sprawę zatruszować, bo to politykierzy wiedzą, że Kasper na znaczenie między swoimi i gdyby mu w trublu nie pomogli, i Kasper nie pomagałby im przy elektszen do pozyskania polskich głosów.

Po prawdzie powiedziawszy to ja tu do was Macieju zaszedłem w sprawie polityki. Możecie już słyszeli, że zakładamy klub polityczny; mamy już trzydziestu dwóch członków i chcemy, żeby o tym

naszym klubie było coś wydrukowane w gazetach. Wiem, że wy trzymacie "Amerykę-Echo", i słyszałem, że to ma być gazeta dobra i bardzo rozpowszechniona pomiędzy Polakami; z tego tylko mi się nie podoba, że podobno wcale się nie zajmuje polityką.

— A toście źle słyszeli, bo owszem Paryski bardzo wiele pisze w swojej gazecie o politycznych sprawach.

— Jeśli tak, to jeszcze lepiej. Napiszcie no Macieju do niego i proście go, żeby doniósł w swojej gazecie o założeniu klubu i żeby popierał naszą partyę.

— O założeniu klubu to wiem że napisze, ale żeby miał popierać waszą czy inną partyę polityczną to o tem ani nie myślcie, bo on tego nie zrobi.

— A to dlaczego; pewnie popiera przeciwną partyę?

— On żadnej partyi nie popiera.

— A dopiero mówiliście, że jego gazeta zajmuje się polityką, a teraz znów mówicie, że nie popiera żadnej partyi; więc cóż to za polityka? Ja takiej polityki nie rozumiem. Chyba że Paryski należy do niezależnej i tę partyę popiera.

— Mówiłem wam już, że on żadnej partyi w takim znaczeniu jak wy mówicie nie popiera.

— Eee, bo ja was Macieju nie mogę jakoś zrozumieć. Więc kim właściwie jest ten wasz pan Paryski? republikaninem czy demokratą, prohibicyonistą, socyalistą, czy nie zależnym i którą z tych partyj jego gazeta popiera?

— Powiedziałem wam już raz, że "Ameryka-Echo" nie popiera żadnej partyi politycznej, a co do Paryskiego to jest on przede wszystkim obywatelem Stanów Zjednoczonych.

— Tak, to ja wiem i bez was, ale jako dziennikarz koniecznie powinien jakiejś partyi służyć, koniecznie powinien się zajmować polityką, bo tego wymaga po nim nie tylko dobro naszej narodowości ale i jego własny interes.

— Otóż właśnie w tem sęk, że Paryski, jego gazeta chcą i służyć całemu polskiemu ogółowi, a nie partyjom ani partyjkom. Ale z tego nie wynika, żeby "Ameryka-Echo" nie uświadamiała politycznie swoich czytelników, owszem czyni to ona gorliwiej i skuteczniej niż inne pisma, które stoją na żołdzie tej lub

owej partyi, bo gdy te przedstawiają swoim czytelnikom sprawy polityczne jednostronnie, gdy na gwałt, często wbrew swemu przekonaniu naganiają ich do głosowania za partyą, przez którą są płatne, "Ameryka-Echo" trzyma się zupełnie odrębnej taktyki. Ona nie ciągnie nikogo za kołnierz ani do republikanów ani do demokratów, ani do wodopijów, tylko mniej więcej pisze tak: Patrzcie; za rządów tej a tej partyi uchwalono takie a takie prawa a te prawa pociągnęły za sobą takie i takie skutki; ta a ta partya przed wyborami robiła takie a takie obietnice zrobiła to i to; rozważcie teraz to wszystko dobrze i głosujcie tak, jak wam wasze sumienie polityczne dyktuje.

— A to mi ładna polityka; żeby taki wszyscy chcieli politykę prowadzić i uczyć się jej od Paryskiego z "Ameryki-Echa" to Amerykanie nas Polaków nie mieliby za nic, bo każdy głosowałby jak i za kimby chciał; nie byłoby między nami jedności politycznej, a więc i siły a tem samem nie moglibyśmy na Amerykanach wytargować żadnych korzyści dla naszej narodowości.

— Źle mówicie Kasprze. Tylko takie bezstronne zapatrywanie się na sprawy polityczne może nam zjednać szacunek i poważanie amerykańskich polityków.

Takie bezstronne z rozsądne zapatrywanie się na politykę krajową więcejby nas zjednoczyło, niż zakładanie dzisiejszych klubów politycznych, polskich, które nie są niczem więcej jak "whole sale" składem polskich głosów, które ta partya kupuje, która więcej zapłaci, a zwyczajnie, która więcej obieca. Ogół polski znosi do tych składów swój towar to jest głosy wyborcze znosi je do składów czy to pod firmą demokratyczną, czy republikańską, czy wreszcie inną jaką, ale co zań dostaje? Najwyżej po kilka szkianek piwa, po parę cygar i to wyborczych, to znaczy z kapuścianych liści — dostaje tylko tak zwane "tips", za fatygę, a meklerzy giełdy politykierskiej czyli naganiacze polityczni, którzy ten ogół spędzili do hurtownych składów, albo wytargują jaki urzędnik podrzędny dla swoich protegowanych, albo — co się częściej praktykuje — napychają kieszenie banknotami lub brzęczącą monetą kandydatów. Takich profesyjnych naganiaczy kolonii polskiej, a proceder ten uprawia-

ją nietylko ludzkie świeccy, ale nawet księża, łakomi na miły grosz, albo chcący wtrynić swego faworyta na jaki urząd. Paryski takim naganiaczem nie był i nie jest; on jest politykiem a nie politykierem.

— A cóż to za różnica między jednym a drugim?

— O jest i to wielka. Polityka jest to wyraz grecki i oznacza sztukę rządzenia krajem a sumienny polityk pragnie, by kraj, którego on jest obywatelem był tak rządzonym, żeby żadnemu obywatelowi nie działa się krzywda, żeby prawa były równe dla wszystkich; politykier znowu to parodia polityka — on ze względu krajem albo dla siebie samego, albo dla swego stronnictwa chce wyciągnąć specjalne korzyści i to z krzywdą innych współ-obywateli a więc w sposób nieuczciwy.

— Ładnieście to wyłożyli, nie ma co mówić, ale czy to nas Polaków nie krzywdzą w tym kraju? Nie trzeba szukać daleko, ot przypatrzmy się tylko naszemu miastu: Ajryskie dzielnice czyste, dobrze i oświetlone i zamiatane, a u nas brudno ciemno, błota po uszy parków ani na lekarstwo i to ma być sprawiedliwie, my nie mamy się łączyć w kluby polityczne

i żądać równych praw i przywilei, z innymi narodowościami?

— Wszystko to prawda, ale kto temu złemu winien jak nie my sami? Powiedźcie tylko, czy w tych naszych klubach choć raz była mowa o tem, czego mamy żądać dla dobra ogółu od kandydatów, którzy się ubiegali o nasze głosy? W samym klubie bierze się zwykle pod rozwagę wiele ten, a wiele znów ów kandydat da pieniądze do klubu albo jaki i wielu Polakom obiecał urząd, a gdy który ze sumieniejszych kandydatów zostawszy obranym przy pomocy polckich głosów, wotknie gdzie jakiego Polaka na urząd to już mamy to sobie za wielkie dobrodziejstwo i Bogiem a prawdą powiedziawszy nie mamy się prawa o więcej upominać, bo cośmy chcieli to nam zapłacono a więc kwita z byka za indyka. Piłeś bratku piwo, paliłeś wyborcze cygara, twój proboszcz dostał paczkę większą a klub mniejszą "greenbacków" więc co chcesz więcej zwłaszcza, kiedy Majka i Franka zrobiliśmy jeszcze asystentem podasystenta?

— A czy to nie korzyść dla nas, że ten albo ów z młodych Polaków dostanie się na choćby podrzędniejszy urząd?

— Jest to korzyścią, ale nie dla ogółu, tylko dla jednostki, a co najwyżej dla dotyczącej rodziny. Takie podrzędne urzęda nie mają najmniejszego wpływu ani na rządy miastem, ani stanem, a tem mniej krajem; to ochłap z wielkopañskiego stołu politykierów.

— Przecież po wielu koloniach polskich mamy już Polaków i na wyższych urzędach; są już Polacy i aldermanami i sędziami pokoju i majorami miast a nawet już i kilku senatorów Polaków w legislaturach stanowych a o ile wiem zawdzięczają to tylko polskiej prasie, która nawoływała ich do solidarności i jedności w polityce.

— Ile jest w tem zslugi prasy, tego nie wiem, ale wiem, że każda z gazet uprawiających politykę po kilka razy zmieniała swe przekonania polityczne, gardlując raz za tą to znowu za ową partją, według tego, która z tych partyj więcej jej zapłaciła. Znam nawet takie gazety, które w jednym w tym samym numerze, ba jednej stronie darły się za republikanami z na drugiej zbawienie kraju upatrywały tylko w demokracach. Więc czy takie postępowanie nie jest rajfurstwem, bałamuceniem ogółu?

— A przecież gazetom z tem dobrze, bo polityka przynosi im nie mało dochodu, więc i Paryskiemu nie spadłaby korona z głowy, żeby donosząc o założeniu naszego klubu poparł w gazecie naszą partyę, bo nietylko że zyskałby między nami czytelników więcej, ale i od partyi dostałby sporo grosza; robią tak inni wydawcy, może i on tak robić.

— Właśnie że on tak robić nie chce.

Inni wydawcy nie mogą związać końca z końcem, bo mają mało czytelników, muszą się oglądać za bocznymi, choćby niezbyt czystymi dochodami, jakimi są dochody z nagonki politycznej. Ontego robić nie potrzebuje, za jego pracę dostatecznie go wynagradza liczny ogół czytelników, a ubliżałoby to i jego godności osobistej i powadze jego gazety, żeby ją miał oddać na usługi jakiegokolwiek partyi politycznej. Pismo poważne nikomu się nie zaprzeda, ani też, nikomu swych przekonań narzucać nie będzie. Co zaś do nowych czytelników, jakich mu obiecujecie z waszego klubu, to nie wiem czy Paryski popierając waszą partyę w zamian za kilku czytelników, wyszedłby dobrze na takim handlu, bo oświadczywszy się za jedną partyą

naraziłby się na ubytek czytelników z drugiej, a tak nie naraża się nikomu, jest wolnym, niezależnym, jest nauczycielem a nie naganiaczem.

— Wy bo Macieju macie dziwne poglądy na politykę. Przecież my Polacy musimy się łączyć w kluby polityczne, razem pracować nad tem, żeby obconarodowcy coś dla nas robili.

— Jak to dla nas?

— A no dla nas Polaków...

— I cóż ci innonarodowcy mają dla nas robić?

— Uważać nas za współobywateli i jako takich stawiać nas porówno ze sobą.

— Zapominacie Kasprze o tem, że ci innonarodowcy obywatele względem nas, Polaków jako Polaków nie mają żadnych obowiązków i z tytułu narodowości nie możemy do nich rościć żadnych pretensyj. Podczas mityngów przedwyborczych mają oni co prawda często na języku naszego Kościuszkę i Pułaskiego aie te nazwiska rzucają nam tylko na wabia, bo wiedzą, że połechtawszy naszą dumę narodową najprędzej nas złapią, poza tem nie uznają naszej narodowości —

widzą w nas nie Polaków, ale obywateli Stanów Zjednoczonych polskiego pochodzenia, a wyznając zasadę "Help' You self" ani im w myśli ciągnąć nas za uszy do góry tak długo, aż znajdziemy się z nimi na równym poziomie. Ta sama drabka, po której oni się wspięli do góry, stoi i do naszej dyspozycji; ich szkoły otwarte i dla naszych dzieci. Że my po tej drabce nie umiemy się wspinać, to nie ich, ale nasza wina, nasze niedołęstwo. Nie ktoś za nas, ale my sami za siebie musimy pracować, a pracować nie dla jednostek, ale dla całego ogółu. Tymczasem te nasze kluby same nie wiedzą czego chcą, nawet gdy przyjdzie postawić kandydaturę Polaka na jakiś urząd, to nie mogą się zgodzić wszyscy na jednego, tylko jedni stawiają Gawła i za nim głosują, inni znów chcą mieć urzędnikiem Pawła i jemu głosy oddają w rezultacie dostaje urząd jakiś Smith albo jakiś Mc., bo się "foolish Polacks" nie mogli się zgodzić, więc Ajrysz albo Niemiec z niezgody skorzystał.

— E, mówcie wy co chcecie, żeby nie polityka, to byłbym teraz beknął za tego łotra Dziana pięćset dolarów.

— I zdrowo by wam było, bo za łotra, rabusia uczciwy człowiek poręczenia stawiać nie powinien. Wy stawiając za niego poręczenie nie tylko daliście mu możliwość uniknięcia kary za zbrodnię, ale ratując poręczoną sumę, za pomocą wpływów politycznych, już naprzód zaprzekaliście polskie głosy bo ręką rękę myje i za tę wyrządzoną wam przysługę będziecie musieli pracować dla tych kandydatów, których wam wskażą bossowie polityczni, jesteście więc porówni z nimi nie politykami, ale politykierami, a ta wasza i ich politykierka na kim się odbije jak nie na wszystkich współobywatelach?

— Pa, a chodźcie że już raz do domu, bo w salunie pełno kostumerów i matka nie mogą se dać rady — zawołała do Kasprowa mała dziewczynka, wbiegając do stancji.

— No, kiedy tak, to już muszę iść, a szkoda, bo chciałem z wami jeszcze pogadać i o polityce i o innych sprawach.

Ot wiecie co Macieju, dzisiaj, jak dzisiaj, ale jutro zajdźcie do mnie, przy poniedziałku nie będzie wielu kostumerów, będę wolniejszy, to pogadamy i o tem i o owem. No co, przyjdziecie?

— Może i przyjdę.

— No to zostańcie z Bogiem, muszę już iść, bo i tak od starej dostanę piekło, że tak długo siedziałem. — To mówiąc Kasper wyszedł.

Na drugi dzień Maciej dotrzymując danej Kasprowi obietnicy, przyszedłszy od pracy, zaraz po wieczery poszedł do salunu Wgórodmucha.

— Słowny z was widzę człowiek, Macieju — zawołał Kasper gdy ujrzał wcho-
dzącego. — Myślałem, że nie przyjdziecie, bo wiem, że was trudno zwabić do salunu, ale widocznie ruszyło was sumienie, żeście mi tak brzydko przymówili wczoraj o tem: zaprzędawaniu polskich głosów i pomyśle-
l'ście: trzeba pójść i Kaspra ułagodzić, kiedy mu się tak jakoś niechcący dopie-
kło.

— Słowność jest obowiązkiem każdego uczciwego człowieka i jeżeli się coś obieca, trzeba dotrzymać, a że rzadko kiedy zachodzę do salunu to dla tego, że nie widzę w tem żadnej przyjemności. Żeby was zaś ułagadzać albo przepraszać, ani mi to w myśli nie powstało, bo powiedziałem wam, tylko prawdę, a za prawdę nikt nie powi-
nien się gniewać, choćby ta prawda była
niemiłą.

— No ja się znów tak bardzo na was nie gniewam, choć nie wszystko to prawda, coście powiedzieli. Ale siadajcie tu przy stoliku a pogadamy o tej polityce obszerniej i przekonam was, że ta polityka to znów nie taki straszny dyabeł jak wy go sobie przedstawicie.

Gdy Maciej na zaproszenie gospodarza, usiadł przy jednym z najbliższych stołów, Kasper polecił żonie mieć pieczę o barze a sam nalał dwie szklanki piwa, postawił na stole i zabierając miejsce obok gościa zaczął w te słowa:

— Żebyście wy Macieju zajmowali się tyle lat polityką co ja, tobyście się przekonali, że przez nią nietylko można przyjść do znaczenia, ale nawet często i sporo grosza zarobić.

— O tem nie potrzebujecie mię przekonywać, bo to wam i na słowo wierzę, ale tego wam nie wierzę, żeby te wpływy i te zarobki polityczne były uczciwe, żeby nie były ze szkodą współobywateli.

— Eee kto tam na polityce jaką szkodę ponosi; najwyżej kandydaci ubiegający się o urzęda gdy przepadną przy wyborach, albo partye, którym się nie udało przeforsować swoich protegowanych.

— Mylicie się Kasprze. Na polityce

uprawianej w ten sposób jak to się obecnie w Ameryce praktykuje, ponosi szkodę biedniejszy ogół współobywateli i to szkodę podwójną, bo materyalną i moralną.

— A to w jaki sposób?

— Zaraz wam to wytłómaczę. Pozostawmy politykę krajową i stanową na boku a przypatrzmy się tylko z bliska polityce miejskiej. Czy zastanowiliście się kiedy nadtem, kto łoży te kolosalne sumy na przedwyborczą agitację, kto płaci gazetom za artykuły agitacyjne, kto płaci za drinksy i cygara przedwyborcze, za te parady uliczne i wogóle za te wszystkie, hece, jakie się odbywają przed każdymi wyborami, a które są niegodne narodu cywilizowanego?

— A któżby jak nie pojedynczy kandydaci i partye polityczne.

— Otóż w tem się mylicie, bo za te wszystkie szopki wyborcze płacimy my ubożsi wyborcy, bez względu na to, do jakiej partyi należymy i która zwycięży, a płacimy za nie z nawiązką i to z grubą nawiązką.

— Teraz to już was całkiem nie rozumiem.

— Zrozumiecie, tylko słuchajcie dalej: Przewodnikami partyi są przeważnie lu-

dzie zamożni buzniesiści, stojący na czele wielkich przedsiębiorstw przemysłowych, fabrykanci, obracający olbrzymimi kapitałami. W ich interesie leży, żeby rządy miastem przedewszystkiem dla nich i dla ich interesów były dogodne; żeby ci, których ogół wybierze na urzędy, nie ogółowi, ale im służyli i stanowili takie prawa, jakieby dla nich były korzystne, a przynajmniej żeby niedogodne prawa mogli bezkarnie przekraczać. Oglądają się więc już naprzód za takimi kandydatami, o których wiedzą, że będą powolnem narzędziem w ich rękę i sypią groszem na prawo i na lewo byle ich wybór zapewnić. Kandydaci swoją drogą nie żałują wydatków i również smarują gdzie mogą, żeby tylko przejechać. I taki kandydat na smarowidło przedwyborcze nieraz wyda dwa i trzy razy tyle, wiele wynosi pensya urzędu o który się ubiega, nie mówiąc już o tem, że zostawszy obranym, musi swój czas poświęcić nowym obowiązkom urzędu a więc zaniedbać, albo i zupełnie porzucić zawód, z którego żył dotychczas. A sami przyznacie, że Amerykanie, to naród praktyczny, dbający więcej o pieniądź, niż o zaszczyty i to czasowe tylko. Z urzędu więc o który się ubiegają, spodziewają się zysku i to zy-

sku, który nie tylko pokrył ich wydatki przedwyborcze, wynagrodził im straty z powodu zaniedbania interesów, ale i wypełnił dobrze ich worek. Tego zysku — jak już powiedziałem — pensya im nie da; trzeba go szukać, postronnie. No i szukają. Jedni w funduszach miejskich, drudzy w łapówkach a wszyscy kosztem ogółu miejskich obywateli, bo ci podatkami muszą nadsztukować to, co niesumiennie urzędnicy miejscy albo poprostu skradli, albo lekkomyślnie rozflążyli. Że tak się dzieje, nie potrzebuję wam udowadniać, bo prawie co dzień można czytać w gazetach, że w tem a w tem mieście, takiego a takiego urzędnika oskarżono o nadużycia finansowe albo o budlerkę. Taka niezdrowa polityka pociąga za sobą niesprawiedliwy i niesumienny rozkład podatków, na czem cierpimy najwięcej my Polacy. My to najdrożej płacimy za przedwyborcze traktamenty.

—Temu, to już nie wierzę, bo sam opłacam podatki od mojej property i wcale sobie nie krzywduję gdyż nie są za wysokie.

— Ja nie żądam od was, żebyście mi na słowo wierzyli; idźcie na kort, przejrzyjcie tabele assementów podatkowych, po-

Obliczcie sumę szacunkową waszej pro-
perty z oszacowaniem property waszego
księcia Ajrysa, a przekonacie się, że
proporcjonalnie płacicie przynajmniej o
jedną czwartą część więcej, jak płacić po-
winniście. A wiecie dlaczego? Oto dla-
tego, że ktoś musi pokryć wydatki na kam-
panię przedwyborczą a tym ktosiem w
pierwszym rządzie jesteśmy my Polacy
jako najpotulniejsi, najbardziej naiwni i
najbardziej lasy na traktamenta politykie-
rów. Tę nadwyżkę podatków płacimy za
tych głowaczy partyjnych, za tych kapi-
talistów i różne spółki przemysłowe, któ-
rym protegowani przez nich urzędnicy,
wypłacając się za urzędy albo jak najniżej,
taksują ich posiadłości, albo za psie pie-
niądze oddają różne kosztowne przywileje
na prowadzenie interesów w granicach
miasta. Dalej naszymi nadwyżkami poda-
tków pomagamy do przyozdabiania i u-
trzymywania we wzorowym porządku
dzielnic i ulic zamieszkałych przez boga-
czy i arystokrację miejską, podczas gdy
my za większe stosunkowo podatki mamy
mniejsze wygody, mniej światła a więcej
po ulicach kurzu i błota.

To szkoda finansowa, jaką ponosimy
dzięki politykierom i chorobliwej polity-

ce uprawianej w tym kraju, ale są jeszcze i szkody moraine, które bardzo szkodliwy wpływ wywierają na całe społeczeństwo.

— Ciekaw jestem co teraz znowu nowego wymyślicie.

— Ja nic nie wymyślam, tylko wypowiadam mój sąd na podstawie tego, co się dzieje.

Mamy wiele dobrych praw miejskich, które gdyby były przestrzegane i wykonywane jak należy, zapobiegłyby i opilstwu i rozpuście, zwiększyłyby bezpieczeństwo mienia i życia i podniosłyby stopień moralności mieszkańców miasta. Tymczasem prawa są, ale tylko na papierze albo stosowane tylko w ostatniej konieczności, bo ci, którzy z obowiązku swego urzędu powinni tych praw przestrzegać a przekraczających je, pociągać do odpowiedzialności, nie chcą się narazić swym wyborcom, zwłaszcza takim, którzy swemi wpływami dopomogli im do wyboru, muszą na przekroczenia praw z ich strony patrzeć przez palce a w najgorszym razie tak jakoś pomaneurować, żeby z zatargu z prawem albo wyszli zupełnie obrónną ręką, albo jak najmniejszy kawałek poły zostawili w rękach sprawiedliwości.

Takie to szkody finansowe i moralne po-

woduje chorobliwa polityka uprawiana przez zawodowych polityków nie tylko w miastach, ale i w Stanach i w całym kraju, którym rządzą nie prezydent z senatem i kongresmanami, ale klika kapitalistów i fabrykantów połączonych w trusty, a służalcami i pomagerami tej kliki są wszyscy ci, którzy przed wyborami za miły grosz skupują głosy wyborców. Czy ta klika nosi nazwisko republikanów, czy demokratów czy inne jakie, w rachubę to nie wchodzi, bo jedni są warci dziewięćdziesiąt dziewięć a drudzy sto bez jednego.

— Więc w takim razie, kiedy jak wy powiadacie i ta partya zła i tamta niedobra nie należałoby za żadną głosować i nie wybierać żadnych urzędników, ani miejskich ani krajowych ani stanowych, i pewnie wy, nauczeni przez Paryskiego gazetę, tak robicie, że nie głosujecie za nikim ale gdyby tak wszyscy robili, to nie miałby kto rządzić ani krajem ani stanem ani miastem.

— Wybierać urzędników jest obowiązkiem każdego dobrego obywatela i nigdy w "Ameryce-Echu," tego nie czytał, żeby Paryski namawiał swych czytelników, żeby nie brali udziału w wyborach: owszem on radzi im głosować ale nie radzi trzymać się

ślepo partyi, dlatego tylko, że ta partya obiecuje im złote góry, albo że do tej partyi ciągną nas factorzy polityczni, którym już za nasze głosy z góry zapłacono.

— Choćno tu, stary, postój chwilę za barą bo ja muszę zajrzeć do kuchni, — zawołała Kasprowa na męża.

— Nie chodźcie jeszcze, Macieju, pogawędzimy dłużej, tylko moja z kuchni powróci — rzekł Kasper stając z za stołu i idąc za barę przy której stało dwóch kostumerów.

— Dobrze, zaczekam — odpowiedział Maciej, dobywając fajki i nakładając ją tytoniem.

— Z tego, coście mówili, Macieju, wcale nie jestem mądry — zaczął Kasper, gdy zwolniony przez żonę usiadł znowu przy gościu. — Raz mówicie, żeby nie głosować za żadną partyą, to znowu utrzymujecie, że oddanie głosu przy wyborach jest obowiązkiem obywatelskim. I jakżesz to jedno z drugim pogodzić? Przecież na kogokolwiek oddam mój głos, zawsze będę głosował za partyą, bo kandydaci na poszczególnych tykietach są kandydatami poszczególnych partyj, a że te partye fajtują się ze sobą i we wszelki możliwy sposób jednają sobie zwolenników, to byłbym

głupi, żebym z tego fajtu nie skorzystał, jak zresztą i inni korzystają, i nie brał kiedy dają, albo przynajmniej nie posługiwałem się wpływami politycznymi.

— Otóż na takim właśnie rozumowaniu i na takim postępowaniu polega cała nieuczciwość w polityce. Nim wam wyjaśnię jak ja pojmuję politykę i jak na nią zapatruje się Paryski w "Ameryce-Echu," pozwólcie, że was zapytam, czyście się kiedy zastanowili nad tem, z kąd to przyszło, że się namnożyło tyle partyj politycznych?

— Hm, przyznam się wam Macieju, że się nigdy nad tem nie zastanawiałem.

— To szkoda, bo nad tą sprawą warto się zastanowić. Właśnie to tworzenie się coraz to nowych stronnictw politycznych, czyli jak my je tu nazywamy partyj nie jest niczem innym, jak tylko wynikiem nadużyć ze strony tych, którym ogół przez wybór dał władzę prawodawczą i wykonawczą. Gdyby dziś Washington i jemu współcześni pierwsi urzędnicy tego kraju wstali z grobów i przypatrzyli się gospodarce teraźniejszych senatorów i kongresmanów, to z pewnością zawołałiby: "Ludzie, coście wy zrobili, z tą piękną spuścizną, jakąśmy wam zostawili w postaci najdoskonalszej jaka kiedy istniała konstytu-

cy! Zostawiliśmy wam kraj prawdziwie wolny, a wyście go oddali pod moc i władzę kapitału; zostawiliśmy was w jedno ści, a wyście się podzielili na stronnictwa, które naciągając tę naszą piękną okrągłą spuściznę — konstytucję — spaczyły ją i powyginały do niepoznania." Ze wzrostem dobrobytu i zamożności kraju wyłaniały się coraz to nowe kwestye sporne i to przeważnie natury prywatnej, które dawały początek nowym partyom. Weźmy na przykład choćby partyę prohibycjonistów....

— A nie wspominajcie mi nawet o tych draniach, bo na samo ich wspomnienie, to mię febra trzęsie ze złości. Gdyby te wodochłopy przyszły do rządu, i przeprowadziły swoje gęsie prawa, to coby się stało z nami salunistami, z browarniami, z tyłoma dystylarniami wódek, z milionami robotników, którzy pracują w tej gałęzi przemysłu? Już teraz w niektórych "dry kontrach" bieda aż piszczy, a coby to było, gdyby oni dostali w swe łapy rządy całym krajem. Może i wasz Paryski potajemnie sprzyja tym przebrzydłym wodopijom, bo jak słyszałem to i sam żadnego trunku nie używa i w "Ameryce-Echu," często salunistom wymyśla.

— Niewiem dlaczego nazywacie go moim Paryskim; przecież on ma przeszło sto tysięcy właścicieli, a nie tylko mnie jednego, bo jego pismo tyle coś liczy abonentów, więc i waszym będzie, jeśli zamówicie sobie jego gazetę. Że nietylko nie sprzyja wodopijom — jak ich nazywacie — ale owszem nie pochwała ich dążeń, za to mogę wam ręczyć, bo prawa, jakie oni chcą przeprowadzić są pewnego rodzaju ograniczeniem osobistej wolności a “Ameryka-Echo” zawsze stawała i staje w obronie tej wolności inaczej ma się rzecz ze salunistami. Tym to prawda, że Paryski napisał nieraz w gazecie słowa prawdy, i zarzucał im, że wielu z nich rozmyślnie rozpija naród, żeby samych siebie tylko zbożać, ale to samo zarzucał on nieraz i księżom, którzy na piknikach i innych zabawach parafialnych szynkują piwem i wódką dla miłego grosza. Ale to trudno; celem “Ameryki-Echa” jest unormowanie ludu a pijaństwo i moralność nie szły i nie pójdą nigdy z sobą w parze. Paryski nigdy nie krytykował salunistów jako salunistów, bo biznes salunisty prowadzony uczciwie, jest tak dobrym interesem jak każdy inny, a początku partyi prohibicyonistów nie dała ani “Ameryka-

Echo," ani żadna inna gazeta tylko ci właśnie, którzy się najwięcej na nią oburzają i przeciw którym ona powstała a to: browarnicy, dystylarnicy, saluniści i wogóle wszyscy hurtowni czy detaliczni producenci i handlarze napojami rozpalającymi.

— Ha, ha, ha, a to paradne; to my mamy być ojcami tej partii wodopijów, których, gdybyśmy mogli, utopilibyśmy w ich własnym trunku? Co wy też Macieju nie bawicie.

— Nie śmiejcie się, tylko słuchajcie, dalej, a przekonacie się, że mówię prawdę. Widziałem tu przed chwilą, jak wasza dawała Antkowi Kopystków szupę piwa, a wiem, że ten chłopak nie ma jeszcze ani siedmnastu lat i widzę tu na ścianie wywieszoną kartę, na której wyraźnie stoi wydrukowane; że małoletnim nie wolno sprzedawać trunków rozpalających, bo to jest przeciw prawu....

— No i cóż z tego, możebyście chcieli mię za to meldować? O to, byście mi zrobili! Nieraz i policman tu zajdzie i widzi, że buby piją a nic nie mówi, bo wie, że choćby mię i oskarżył, to mi sąd nic nie zrobi; w najgorszym razie browarnik pochodziłby gdzie trzeba i sprawie łeb

by ukręcili. A zresztą nie dam ja im pić, to da im drugi salunista więc wolę, że u mnie stracą.

— O meldowaniu nie ma tu mowy, bo nie jestem denuncyantem. Jeślim wam wytknął to drobne na pozór przekroczenie prawa, to tylko dla tego, żeby wam dowieść, że takie właśnie przekroczenia zrodziły partycję prohibicyonistów. Nie używanie trunków, ale nadużywanie ich jest złem, przeciw któremu nie tylko tu, ale w całym cywilizowanym świecie musiało wystąpić ustawodawstwo. Prawa, jakie przeciw szerezeniu pijaństwa istnieją, są dobre i gdyby były należycie przestrzegane i wykonywane, odpowiedziałyby swemu celowi, ale niestety tak wy, jak i inni dla zysku obchodzicie te prawa a dopomajgają wam w tem właśnie ci którzy z urzędu są obowiązani ścigać was za ich przekroczenie. Że nie za darmo, to więcej jak pewna, bo jeśli nie gotówką, to dla miłego spokoju zapłacicie im za to przy wyborach znowu swymi głosami. Na takim gwałceniu prawa o pijaństwie cierpi moralność całego kraju. Trzeba było temu coś zaradzić no i zebrało się grono ludzi, którzy widząc, że ustawa o pijaństwie nie osiąga pożądanego skutku, owszem nieraz wywiera wręcz przeciwny

chwyciło się radykalnego środka i założyło nową partycę polityczną, która dąży do zupełnego zniesienia fabrykacyi i sprzedaży alkoholycznych trunków choćby z pogwałceniem osobistej wolności obywatelskiej.

Mniej więcej z podobnych powodów jak partya prohibicyonistów powstawały i inne partye. Rozpanoszenie się kapitału, kwestya waluty złotej czy srebrnej, taryfa celna, oto mniej więcej zarodki różnych stronnictw. Te stronnictwa rosły pomału a chcąc dostać się do władzy by przeprowadzić twoje plany, musiały sobie jednać zwolenników i to we wszelki możliwy sposób, i czapką i papką, nawet groźbą, a pracowały — jak już wspomniałem nie dla ogółu, ale dla siebie, bo ogół jest tylko jeden i jedne tylko prawa i ustawy mogą być dlań zbawienne, czy to się rozchodzi o cło, czy o walutę czy o inne żywotne kwestye kraju. I przy pomocy tego ogółu wyciągają dla siebie tylko gorące kasztany z politycznego pieca czy to republikanie, czy demokraci, czy socjaliści; że sobie przy tej operacyi ogół palce popieczę, to ich mało to obchodzi, bo to ich nie boli.

Dopóty nie przestaniemy piec palców,

dopóki będziemy głosowali na narzuconych nam przez partye kandydatów.

— Przecież wam już powiedziałem, że każdy kandydat jest kandydatem partyjnym, a musicie to przyznać, że są i pomiędzy nimi ludzie uczciwi, nie wybieramy bowiem samych łapowników i graferów.

— To prawda, ale niestety tych uczciwych jakoś zawsze jest mniej a i tych co są, podzieliłbym na dwie kupki i to na jedną większą a drugą mniejszą. Na pierwszą kładę tych, którzy wprowadzie sami nie nadużywają swych stanowisk do osobistych celów, ale brak im odwagi zapobiegać nadużyciom popełnianych przez swych koleżków; na drugą zaś i to znacznie mniejszą tych, na których przypadkowo oszukali się przywódcy partyjni i postavili ich kandydaturę, pomogli im do wyboru ale oni przyjrzawszy się z blizka szacherkom politycznym, postavili się jeżem. Lecz cóż, będąc w znacznej mniejszości, choćby chcieli, nie przebiją grubej i nieczulej skóry politycznych bosów. Co najwyżej od czasu do czasu wydobędą na światło dzienne jakieś brudy polityczne, czy to szacherek gruntowych, czy przekupstwa wyborczego, czy coś równie kompromitu-

jącego, jeśli nie całą partycę, to któryś z głównych jej filarów.

— Łatwo to się tak mówi ale głową muru nie przebije. Co nam Polakom łamać sobie głowy nad polityką. Choćbyśmy chcieli, złemu nie zaradzimy; musimy głosować na takich kandydatów, jakich nam partya wskaże.

To się właśnie rozchodzi, żeby nam dobrych wskazała, a takich nie będzie potrzebowała szukać, bo się sami zgłoszą, ale nie pierwej, aż zaprzestaniemy frymarki naszymi głosami, aż kandydat będzie miał pewność, że będzie niezależnym od maszyny politycznej, że będzie służył nie klice, ale ogółowi. W polityce krajowej a nawet stanowej prawda, że jeszcze jesteśmy liczebnie słabi, choć i tu nasze głosy nieraz mogą znaczyć wiele, ale w polityce miejskiej, zwłaszcza w koloniach, w których Polacy rozporządzają setkami, ba nawet tysiącami głosów, tam możemy decydować o zwycięstwie tej albo owej partyi, a za cenę tego zwycięstwa partya, choćby nie chciała, musi postawić kandydatów zależnych od nas a nie od niej, musi nam dać nie to, co jej łaska, ale to co nam się należy, czego słusznie zażądamy.

Tak tylko pojęta i prowadzona polityka może nam zjednać poważanie u współobywateli innych narodowości.

— A dalibyście spokój z tą polityką. Stoję za wami już od pół godziny i słucham waszej rozmowy, aż mi się naprzykrzyło. Ot lepiej zaczniście o czem innem, to może i jabym z wami pogawędził, bo co o polityce to ta mię mało obchodzi i nie lubię o niej rozprawiać.

— Aaa i Jakób tu? Aniśmy zauważyli, kiedyście przyszli — zawołał Kasper, obejrzawszy się i spostrzegłszy stojącego tuż za nim Jakóba Turkoć, właściciela polskiego składu towarów żelaznych. — No siadajcie tu przy nas; jeszcze nie tak późno to i pogawędzimy, kiedy do gawędki macie ochotę.

Gdy Jakób przywitał się z Maciejem i z gospodarzem i usiadł przy stole a Kasper na je o żądanie przyniósł trzy kufle piwa, zaczął rozmowę w te słowa:

— Mówiliście Macieju o poważaniu nas Polaków przez współobywateli ale tego poważania nie wywalczy nam i najlepiej prowadzona z naszej strony polityka, bo Amerykanie to naród przede wszystkim praktyczny. Jankiesi nie patrzą na to, czem kto był lub jest, **jaki**

posiada lub czy wogóle posiada jaki urząd, ale na to, — wiele jak to oni mówią— wart; nie patrz— na głowy, ale na kieszeń, a że nasza kieszeń chuda, to też nas mają za baj bardzo

— Po części Jakubie macie słuszność. Prawda jest, że tu w Ameryce, jak wogóle i w całym świecie imponuje majątek czyli dobrobyt, bo ogólnie biorąc, jest on skalą kultury poszczególnych narodowości, ale jeśli Amerykanie mają respekt i poważanie dla majątku, to to poważanie nie odnosi się do samego majątku, tylko do jego posiadacza, który potrafi go zrobić, że zaś my Polacy na ogół biorąc, pod względem zamożności stoimy w Ameryce jeśli nie na ostatnim to z pewnością na przedostatnim stopniu, że nasze głowy do zrobienia majątku są za słabe, to też i Jankiesi tak nas piszą, jak nas widzą. Ale nie różnica zamożności naszej u Amerykanów jest powodem tego z ich strony lekceważenia nas, tylko przyczyna tej różnicy, a tę, gdybyśmy chcieli, łatwo możemy usunąć.

— Pewnie, że możemy tylko żebyśmy trzymali się kupy, popierali nawzajem, to i polskie biznesa podniosłyby się a z nimi i dobrobyt narodowy, i handel, ka-

ale gdy pozostanie tak jak jest, gdy zamiast popierać polski przemysł i handel niemał każdy zarobiony cent zaniesiemy do składów ajryskich, niemieckich, a nawet żydowskich, które nawet nasza polska prasa popiera i zaleca, umieszczając ich ogłoszenia, to nigdy pod względem materalnym, nie zrównamy się z Amerykanami.

— O tem trzymaniu się kupy i popieaniu wzajemnem w takim znaczeniu jak wy myślicie, to jest w znaczeniu biznesowym, dałoby się wiele powiedzieć, ale...

— Cóż ale; mówcie, kiedyście zaczęli.

— Powiedziałbym wam tylko wy i Kasper, jako byzniesiści, gotowicie się obrazić.

— No, przecież nas nie zwymyślacie, a choć powiecie coś takiego, co nam się nie będzie podobało, toć to poufna pogawędka i każdy może wypowiedzieć swoje zdanie.

— A no kiedy chcecie, to będę mówił ale nim zacznę darujcie Jakubie, że się was zapytam, czy ogłaszacie wy się kiedy?

— A mnie to poco? Ja nawet żadnej Polskiej gazety nie trzymam od czasu jak odmówiłem "Amerykę—Echo"

— I dlaczego to odmówiliście to piśmo, jeśli wolno zapytać?

— Dlaczego? Bo gdy założyłem biznes żelazny i posłałem ogłoszenie do Paryskiego o tem, prosząc, żeby wsadził do swojej gazety, to obliczył ten wątrobnik, zamiast umieścić jako abonentowi ogłoszenie za darmo, obliczył je na cale i kazał sobie za każdy cal słono zapłacić.

— Ej, ej, Jakubie, wmięszal się do rozmowy Kasper — nie wym yślajcie n Paryskiego i jego gazetę, bo Maciej to wielki jego przyjaciel i gotów się o to pogniewać.

— A niech się tam gniewa a co prawda, to nie grzech. Jeśli ja brałem od niego gazetę, to powinien był choć raz moje ogłoszenie umieścić za darmo. Słyszę, że teraz nawet poszukiwać niechce nikomu za darmo, taki zachłanny na te centy.

— Pogniewać się nie pogniewam, bo choć Paryski, jak powiedział Kasper i czego się nie wypieram, jest moim przyjacielem, a raczej nie on, bo jego nawet osobiście nie znam, ale jego gazeta, to to, co o nim Jakubie mówicie ani jemu ani gazecie nie ubliża, a wy obrażając się tem, że wam nie chciał bezpłatnie u-

mieścić ogłoszenia widać nie znacie się na biznesie.

— Co, ja nie znam się na biznesie? Cha, cha, cha, już od dziesięciu lat biznes robuję i nie miałbym znać się na nim; A to dobre, a to pocieszne.

— Nie gniewajcie się i nie śmiejcie. Słuchajcie tylko cierpliwie, a sami przyznacie, że mam słuszność.

Pamiętacie zapewne, że łośńskiego roku kupiłem u was piec do ogrzewania.

— No, tak, pamiętam, że sprzedałem wam go dosyć tanio.

— Już tanio czy drogo to mniejsza z tem, ale pewnie pamiętacie i to, że gdy ustawiając go, przynieśliście jedno kolano więcej, to musiałem wam za nie osobno zapłacić.

— No to co? Albo mi się nie należało, albo mi to fabryka doda kolana za darmo? A zresztą co kolano ma wspólnego z Paryskim i jego gazetą?

— Zaraz wam to wytłómaczę. Jeśli wy nie chcąc tracić, nie możecie swoim odbiorcom robić prezentów choćby tylko z kolan od pieców, to jak Paryski, który już i tak dodaje do gazety premie i to znaczne, może już nie kolana od pie-

ców, ale piece od kolan rozdawać za darmo?

— Jako piece, przecie on piecami nie hadluje.

— Tak, ale on na ogłoszeniach proporcjonalnie ma taki zarobek jak wy na piecach, zaś na abonamencie gazety taki, jak wy na kolanach. Podstawę utrzymywania gazety są ogłoszenia, bo sam abonament nigdy nie opłaci kosztów wydawnictwa.

— No... tak... niechby już sobie i kazał był zapłacić zoś niecoś za ogłoszenie, ale nie tyle, wiele odemnie żądał. Przecie on chciał cztery razy tyle, co zapłaciłem w angielskiej gazecie.

— Aha, toście swój interes ogłosili w angielskiej gazecie i zapłaciliście za nie, a od Paryskiego wymagaliście, żeby was ogłaszał za półdarmo, albo jeszcze lepiej za darmo i jeszcze użalacie się, że Polacy nie popierają polskiego przemysłu i handlu.

— To co innego, a to znów co innego. Nie chciał Paryski umieścić ogłoszenia, to musiałem dać do angielskiej gazety, gdzie zapłaciłem czwartą część tego, co on odemnie żądał. Zresztą, jak już wam powiedziałem, pono teraz Paryski nawet

takich głopich poszukiwań nie chce umieszczać choćby i swoim czytelnikom.

— I dobrze robi, bo umieszczając je bezpłatnie, krzywdziłby i siebie i wszystkich tych, którzy jego gazetę utrzymują.

— A to jakim sposobem

— Całkiem prostym. Słuchajcie tylko. Jak słyszałem, "Ameryka-Echo", ma około sto pięćdziesiąt tysięcy czytelników. Gdyby tylko setna część z nich chciała raz w tydzień umieścić bezpłatnie poszukiwania, to temi poszukiwaniami Paryski musiałby zapłacić co najmniej dwie strony gazety; musiałby więc albo krzywdzić swoich abonentów, dając im co tydzień mniej ciekawych i bardziej od poszukiwań zajmujących wiadomości, albo powiększyć gazetę, a tak, czy tak sam ponosiłby stratę, bo mniej ciekawa gazeta odstręczyłaby wielu abonentów, a więc zmniejszyłaby jego dochody a jej powiększenie znów, powiększyłoby jego wydatki; więc i tak źle i tak nie dobrze; Podczas gdy płatne poszukiwania dla potrzebujących są tylko wydatkiem, na który bez uszczerbku zdołają się ci, którzy takich ogłoszeń o poszukiwaniu potrzebują, a wydawnictwo

ani czytelnicy nie ponoszą żadnej straty! bo w razie wielkiej ilości takich poszukiwań opłata za nie pokryje wydatku za powiększenie gazety.

Kiedy już zgadaliśmy się o Paryskim, i ogłoszeniach i kiedy bierzecie mu za złe, że drożej bierze za ogłoszenia jak biorą nawet angielskie gazety to muszę wam wytłómaczyć skąd ta różnica cen pochodzi.

Macie wy w swoim sztorze konne grabie do grabania siana?

— Nie, konnych nie mam, tylko ręczne, bo konne to mają tylko wielkie składy maszyn rolniczych. Ale co grabie mają wspólnego z Paryskim i z jego gazetą?

— Tylko słuchajcie, a zaraz się dowiecie. Wy nie macie grabi konnych, ale macie ręczne i to po rozmaitej cenie; po kwodrze, po pół dolara, po sześć szylingów, a może i droższe, stosownie do wielkości i jakości do wyrobu i materiału, a konne grabie, jako większe, sięgające szerzej i garnące naraz więcej siana, kosztują kilkanaście a nawet kilkadziesiąt dolarów i wyśmianoby każdego, ktoby chciał takie grabie kupić za pół dolara.

Otóż czem grabie dla farmera, tem ogło-

szenia dla biznesisty, tylko, że grabie gromadzą farmerowi siano, a ogłoszenia biznesiście kostumerów. Że nasi polscy biznesiści jeszcze bardzo mało posługują się takimi ogłoszeniami—grabiami i czekają tylko aż im wiatr przywieje i napędzi przypadkowo jakie źdźbła siana w postaci kostumerów o tem później będę mówił. Takimi konnemi grabiami, sięgającemi daleko, bo nie tylko w Ameryce, ale niemal po wszystkich częściach świata, są ogłoszenia w "Ameryce Echu" i Jakżesz możecie żądać, żeby Paryski brał za te szerokie grabie te same ceny, jakie biorą inni kupcy wydawcy za nędzne i nie daleko sięgające, a więc i małą ilość kostumerów garnące grabki.

Jeśli biznesista ogłasza swój biznes w gazecie, to na to, żeby o nim powiadomić jak najszerszy ogół, bo interes bez reklamy nigdy należycie nie rozwinie i jeśli nie upadnie, to będzie tylko wegetował. Wiedzą o tem Amerykanie i łożą setki tysięcy dolarów rocznie na reklamę to jest ogłoszenia z pewnością nie robiliby tego, gdyby im się to nie odplacało. Polscy tylko biznesiści są pod tym względem skąpi i tu właśnie sprawdza się na ich przysłownie, że skąpy dwa razy tra-

ci. Raz tracą, bo nie przybywa im kostumerów, a drugi, bo zapasy towarów nie wyprzedane, po pewnym czasie tracą na wartości, a czasem nawet zupełnie niszczą. Amerykanie sami się dobijają o ogłoszenia w gazetach; Polacy choć dadzą do czasu do czasu jakie ogłoszenie której polskiej gazecie, to uważają, to za łaskę ze swej strony, za jałmużnę. Co gorsza, nie popierając sami polskich pism przez ogłaszanie się w nich, biorą im za złe, że te przyjmują ogłoszenia angielskie i że tym sposobem psują im bezpośrednio interes.

Tu przerwał Maciejowi Kasper, prosząc, by się zatrzymał z dalszą gawędą, która go zaciekała, aż się załatwi z kostumerem, który właśnie wszedł do sąłonu i chciał się z nim samym rozmówić.

— Ta piosnka o trzymaniu się kupy i popieraniu polskiego handlu i przemysłu — zaczął Maciej, gdy Kasper załatwił interes z kostumerem i powrócił do kompanii — jest starą jak emigracja polska do Ameryki i śpiewacie ją nietylko wy, Jakubie, nietylko wszyscy polscy byzniesiści i nieliczni nasi przemysłowcy, ale tak jak pieśń legionów, “Jeszcze Polska nie zgi-

nęła,” śpiewa ją cały polski ogół; śpiewa ją również na różną nutę nasza polska prasa, ale wierzcicie mi, że jak patryotyzmem, polegającym jedynie na śpiewaniu pieśni legionów, nie odbudujemy Polski, tak i tą piosnką o popieraniu polskiego przemysłu nie zmienimy stosunków na lepsze.

— Pewnie, że nie zmienimy, bo ja sam widzę, że nasi ludzie choć wrzeszczą, “popierajmy swoich,” choć ich polska prasa do tego nawołuje, chętniej robią zakupy u obcych. Jeśli więc polski przemysł i handel, a z nim i narodowy dobrobyt nie wzrasta jak należy, to wina leży tylko po stronie polskiego ogółu. Czy nie prawda, Kasprze, czy nie mam słuszności? — zapytał Jakub, zwracając się do gospodarza.

— Pewnie, że tak, — przywtórzyl Kasper. — Weźmy choćby nasz interes, salunistów. — Nie dosyć, że na taką, jak nasza polska osada jest nas już tak wielu, to niektórzy Polacy idą jeszcze do niemieckich i ajryskich salunów, jakby tam piwo i wódka były lepsze.

— Was polskich salunistów nie jest wielu, ale za wielu i to właśnie jest naszą wadą w Ameryce, że cały nasz przemysł opieramy na salunach. Ten lub ów N., uciulawszy przez kilka lat ciężkiej pracy

parę setek dolarów, myśli o założeniu jakiego biznesu. Ale jakiego? Na "dry goods" albo inny jaki skład pieniędzy ma za mało, a może i nie ma odpowiednich zdolności do prowadzenia takiego interesu, więc myśli sobie: założę salun. Nalewać w szklanki i kieliszki nie wielka sztuka. Potrafi ten biznes prowadzić Dzian, to potrafię i ja, a te parę setek, jakie mam, wystarczą.

Browarnik da rent, zapłaci lajshnes, wstawi barę i jakoś to będzie. No i jest. Browarnik rzeczywiście osadza nowo upieczonego salunistę na kornerze wprost Dziana i rozpoczyna się szynkowanie. Ale pożałuj Boże z takim szynkowaniem. Chciałeś człeku polepszyć sobie los, wyswobodzić się z pod szapowego bossa a zaprzedałeś się w niewolę browarnikowi i jemu musisz się wysługiwać, sprzedając chlapy jakie ci przysze, bo siedzisz u niego w kieszeni jak galicyjska szlachta w żydowskich. I najczęściej co się dzieje? Oto po roku a czasem jeszcze i prędzej, taki świeżo upieczony polski salunista pozbywszy na szynku uciulanego grosza wraca do szapu lub do majnów robiąc na kornerze miejsce nowemu kandydatowi na niby to lekki chleb.

— Eee, przesadzacie, Macieju; przecież nie wszyscy znów saluniści zależni są od

browarników, a i z tych mało który ma się dobrze, bo większość to ledwie, że koniec z końcem — jak to mówią — wiąże choć mogliby dobrze stać, gdyby ich rodacy jak należy popierali.

— Oj niestety, my Polacy was saluni-
stów aż zanadto popieramy i gdyby nie
to nazbyt gorliwe popieranie a raczej pod-
pieranie salunów, to inaczej stalibyśmy fi-
nansowo i moralnie. Ale nie chcę się nad
tem bliżej rozwodzić i psuć wam krew,
to tylko nadmienię, że jeśli który z was
uskarża się na kiepski byznes to sam sobie
winien, bo i do prowadzenia salunu jak
wogóle do prowadzenia każdego interesu,
niezbędne są pewne warunki.

— A no pewnie, że tak. Ja to wiem i bez
was. Człowiek musi się znać na trunkach,
trzymać barę czysto pilnować się dobrze
w wydawaniu cieńciu, wiedzieć komu po-
kredytować, a komu nie, bo inaczej wnet
zeszedłby z byznesu.

— Co do tego kredytowania to lepiej
żeby go wcale nie było, bo i wy i kostume-
rzy wychodziliby lepiej na tem. Ten kre-
dyt ma to do siebie, że wychodzi na szkodę
i kredytora i kredytujących, a nawet wszy-
stkich kostumerów. Jeśli kto, to właśnie
wy saluniści to słowo "kredyt", pominą-

wszy już względy moralne, to ze samych względów finansowych powinniście wykreślić ze swego słownika.

— Ciekaw jestem dlaczego? Kredytują inni, to i ja muszę, bo inaczej straciłbym kostumerów.

— Kto wie; może owszem mielibyście więcej, a choć nie więcej, to stałych, Że inni kredytują, to nie racya. Patrzcie, inne wydawnictwa posyłają swoje gazety i po kilka lat czytelnikom na kredyt a jak na tem wychodzą? Paryskiemu raz zapomniałem w swoim czasie posłać przedpłatę za "Amerykę-Echo," i zaraz mi ją wstrzymał, a mimo to nie stracił we mnie abonenta, bo wiem, że on dla mnie jednego nie może robić wyjątków, a gdyby tak jak inni chciał wszystkim na kredyt posyłać swoją gazetę, to nie byłby ona taką, jaką jest, bo nie mogłaby być taką, z tej prostej przyczyny, że on nie byłby pewien dochodów a więc nie mógłby należycie uregulować wydatków, a tem sarnem i ulepszać: gazety. Tak zaś jak jest, jest dobrze. Paryski wie, że na tem i na ten tydzień dostanie odemnie tyle i tyle prenumeraty a ja znowu wiem, że co tydzień regularnie dostanę z poczty jego gazetę.

— Co wy tu przytaczacie Paryskiego, Gazeta co innego, a salun co innego.

— W tem mace słuszność, ale jeśli na ogół biorąc, kredyt jest czynnikiem demoralizującym, to przede wszystkim kredyt po salunach. Trunek nie tylko, że jest artykułem zbytku, a więc już jako taki powinien być wyjęty z listy kredytowej, ale jest jeszcze poniekąd plagą ludzkości, bo używanie go przechodzi w nałóg, a rozszerzanie nałogu za pomocą kredytu jest wprost zbrodnią.

— Patrzcie no Kasprze jak wam to Maciej odpalił. Ni mniej ni więcej, tylko z was salunistów zrobił zbrodniarzy.

— Nie, Jakubie; ja wszystkich salunistów nie mam za zbrodniarzy, tylko tych, którzy łatwym kredytem przyczyniają się do rozpijania ojców rodzin, rujnując ich materyalnie i moralnie.

Ale wy nie wiecie wiele nam pieniędzy przepada za trunki u niesumiennych dłużników — zawołał Kasper.

— Wiem o tem, ale was wcale nie żałuję, bo nawet z tego względu i ustawa was nie żałuje, ograniczając możność upominania się w drodze prawnej za trunki tylko do pewnej nieznaczonej sumy. Ja żałuję tylko tych waszych kostumerów, na których wy

musicie odbijać te poniesione straty, bo odbić je w jakikolwiekby sposób musicie, a że te sposoby nie zawsze są zgodne z sumieniem, więc też u przeważnej części was salunistów sumienie jest bardzo rozciągliwe.

— Eee, dajcie tam już spokój ze sumieniem, a powiedzcie lepiej coście mieli na myśli mówiąc, że i do prowadzenia salunu są niezbędne pewne warunki.

— I owszem, choć mówiąc o warunkach powodzenia w prowadzeniu salunu nie miałem na myśli jakich specjalnych przykazań, bo nie jestem pod tym względem fachowcem. Chciałem tylko na podstawie własnych spostrzeżeń zwrócić waszą uwagę na przyczyny, dla których przyzwoity człowiek omija niekóre polskie saluny.

— Pewnie dlatego, że są brudne i niechlujne, albo że usługa w nich ślamazarna, albo co gorsza, opryskliwa i gburowata.

— I to się trafia, choć te braki szkodzą nie tylko salonom ale i innym byznesom, bo czystość pożądana w każdym prywatnym mieszkaniu, jest nieodzownym warunkiem powodzenia w każdym, jakimby nie był składzie, a cóż dopiero w salunach, grocerniach lub buczerniach, gdzie róż much obsiada artykuły spożywcze albo

pstrzy szklanki, gdzie kurz i śmiecie zalegają podłogę, tam niech czy to buczer, czy grosernik, czy choćby inny byznesista nie spodziewa się porządnych kostumerów.

Czystość bowiem i grzeczne traktowanie odbiorców to dwa kardynalne warunki powodzenia w interesie. Wiedzą o tem Amerykanie i pod tym względem celują. Ale jest jeszcze jedna rzecz, która odstręcza porządnych ludzi od pewnych salunów i to przeważnie polskich, że wolą pójść na szklankę piwa do Niemca lub Ajrysza niż do Polaka, a to przetrzymywanie po salunach notorycznych pijaków i awanturników. Do takich salunów nietylko wejść, ale nawet przejść koło nich niebezpiecznie, bo pijana hołota, złożona przeważnie z niedorostków, oblega zewnątrz salon, a wewnątrz podpiera barę, opluwając wkoło podłogę ciuką, każdej chwili gotowa wywołać awanturę, a nawet pohopna do bijatyki i kradzieży.

— A to wy byście chcieli, żeby ich salunista wyrzucił, kiedy ich nikel za piwo taki dobry jak i drugiego.

— Ale ich zachowanie i obyczaje odmiennie, a doświadczenie uczy, że tego rodzaju klientelia zniesławia tylko doty-

czący salon i odstręcza odeń ludzi porządnym.

— A dajcie już spokój ze salunami; na salunach polskich byznes nie stoi. Mówmy lepiej o innego rodzaju polskich interesach przemysłowych, bo ciekaw jestem coby Maciej miał tym do zarzucenia i czemuby usprawiedliwił tę obojętność naszych rodaków, jaką okazują dla tych interesów.

— Wiele miałbym niektórym do zarzucenia i wykazałbym ich niedostatki, dla których brak im poparcia od swoich ale już późno. Czas iść do domu. Zajdźcie do mnie w niedzielę po południu, to pogadamy.

— Ja nie wiem, czy będę mógł przyjść, bo w niedzielę popołudniu zwykle w salonie największy byznes....

— I musicie dzień święty przy barze święcić — przerwał Kasprowi śmiejąc się Jakób.

— Ha trudno; trzeba tego pilnować, z czego się chleb je — odpowiedział Kasper.

— No to wy jak tam sobie chcecie ale ja przyjdę bo ciekaw jestem, co też Maciej zmyśli na inne polskie byznesy.

Jeśli uważacie, że ja to co mówię zmyślam, to szkoda gadania...

— No, no nie gniewajcie się: pożartować można. Przyjdę w niedzielę i posłucham co powiecie.

To mówiąc, Jakub i Maciej pożegnali się z gospodarzem i wyszli.

— Nie bardzo w smak musiała pójść Kasperowi wasza wczorajsza mowa, Macieju — zaczął na drugi dzień Jakób, gdy wieczorem zaszedł do Macieja na pogawędkę. — Po prawdzie, to to, coście mówili o salonach i salonistach i jego potrosze tyczyło.

— Mówilem o salonistach wogóle a jeśli Kasper wziął moje słowa do siebie, to nie moja wina.

— No mniejsza tam i z Kasprem. Powiedzcie lepiej, co byście mieli innym biznesistom do zarzucenia i dlaczego to, jak powiadacie, ogół polski często pomija swoich a idzie kupować do obcych.

— Wiele dałoby się na ten temat powiedzieć, a chcąc rzecz szczegółowo wyjaśnić, trzeba by omawiać każdy rodzaj interesu z osobna, bo każdy interes ma swoje właściwości, ma — że się tak wyrażę — swoje odrębne warunki bytu i rozwoju, które chcąc omawiać, trzeba być fachowcem.

Ja nim nie jestem i dlatego, co najwyżej, mogę wam tylko ogólnikowo powiedzieć co uważam za nieodzowne dla każdego biznesisty.

— To też chcę od was usłyszeć, bo ciekaw jestem jakie braki spostrzeżliście u polskich biznesistów, i jaką różnicę widzicie pomiędzy nimi a ich angielskimi konkurentami.

— Poskim biznesistom po największej części brak fachowego wykształcenia, brak im praktyki zawodowej. Ja, jak wicie nie jestem szewcem a mimo to, jak mi potrzeba, nieraz sobie sam przybiję zelówki do cutów, ale że je nie przybiję tak zgrabnie i prędko jak zawodowy szewc, to więcej jak pewne, bom się tego nie uczył i nie mam w tem wprawy. Otóż takich przygodnych a niewprawnych szewców mamy i pomiędzy polskimi biznesistami.

— E, co wy tam szewiectwo porównujecie z biznesem. Szewstwo, jak każde inne rzemiosło, wymaga specjalnej nauki, wprawy.....

— A handel i przemysł myślicie że nie?

— No, tak... ale nie tyle, bo żeby sprzedać jak na przykład w moim biznesie,

funt gwoździ, albo pajnt pajntu, to nie potrzeba do tego wielkiej nauki i praktyki.

— A to się bardzo mylicie. Chcąc być dobrym biznesistą, nie wystarcza umieć sprzedać odnośny towar, ale trzeba wiedzieć, gdzie, kiedy i jaki kupić, trzeba umieć klienteli zachwalić ten towar, ażeby mieć nań zbyt, a tem samem nie dać leżeć bezczynnie kapitałowi obrotowemu; trzeba umieć pozyskać sobie klientelę, grzecznością, rzetelnością, dobrocią towaru, przywiązać ją niejako do swego składu, a tego wszystkiego uczy dłuższe doświadczenie i praktyka w zawodzie kupieckim. Taką kupiecką rutynę amerykańscy kupcy mają; naszym przeważnie jej jeszcze brak i ztąd ta różnica w powodzeniu, bo każdy idzie kupwać tam, gdzie znajdzie większy wybór towarów, lepszą obsługę i gdzie może kupić korzystniej. Polski biznesista chcąc liczyć na powodzenie, nie może budować na patryotyźmie na przyjaźni, ba choćby na pokrewieństwie lub kumoterstwie. Przyjaźń przyjaźnią a interes interesem i jak to mówią, miłość braterska a rachunek żydowski. Dajcie wy polskiemu ogółowi taki i po takich ce-

nach towar, jak go dają składy innonarodowe, obsługujcie polską klientelię tak, jak ją obsługują wasi innonarodowi konkurenci, jak oni ogłaszajcie się w polskich pismach, ułatwiając za pomocą ogłoszenia zbyt swoim towarom, a nie będziecie się potrzebowali uskarżać na brak poparcia ze strony polskiego ogółu, bo wtedy nietylko krewniak, przyjaciel albo kumoter przyjdzie do was z tytułu kumoterstwa po funt gwoździ, szkielko do lampy albo inną jaką drobnostkę, ale przyjdą nawet i obcy i to po grubszy towar, bo się przekonają, że go dostanie u was w tym samym gatunku i po takiej a może jeszcze i niższej cenie jak w mieście. Wtenczas grosz polski pozostanie w polskich kieszeniach i tem samem i zamożność nasza się spotęguje.

— Co daj Boże, Amen. — Przerwał Maciejowi głos z za progu i w tej chwili wszedł do izby nowy gość, niejaki Filip Wyrwas, niedaleki sąsiad i znajomy Maciej.

— Stoję już chwilę pod drzwiami i słucham jak Maciej prawi Jakubowi kaza-
nie o biznesie — zaczął nowoprzybyły, przywitawszy się z gospodarzem i z Ja-

kómbem — ale nie gniewajcie się że wam przerwałem i prawcie dalej, to i ja posłucham.

— Eee, nie ma tam już o czym prawić, bo com wiedział, tom i powiedział. Siadajcie no Filipie i powiedzcie co was do mnie przyгнаło, bo to z was rzadki u mnie gość i pewnie macie jaki interes, kiedyście się tu zjawili .

— Interesu to ta wielkiego nie mam, tylko moja mnie wyгнаła do was żebym pożyczył tej “Rózgi” w której jak slyszała, były wymalowaue kobiety w tych nowomodnych portkach, jakie baby podobno teraz mają nosić.

— A waszej to na co— zapytał Jakób.

— Czy może i ona chce sobie takie portki sprawić.

— A lichu ją tam wie; może sobie i sprawi, bo to ta moda, to nie przymierzając jak zaraza. Jedna głupia wymyśli jakieś cudactwo a tysiące niemądrych zaraz ją naśladuje i wdziewa na siebie te nowe cudaczne fatałaszk.

— Toście nie dostali tego numeru Rózgi”

— zapytał — Maciej — bo zdaje mi się, że ją trzymacie.

— Już nie trzymam ani “Ameryki-Echa” ani “Rózgi”, już od pół roku.

— A to dlaczego? Czy wam się te pisma nie podobały?

— E nie; owszem podobały mi się bardzo, ale jak raz przyszedł jakiś agent od innej gazety i jak zaczął moją na nią namawiać, a trafił właśnie na taki czas, kiedy mi “Ameryka-Echo” wychodziła, tak moja podburzona przez agenta, który Paryskiego pisma ganił a swoje pod niebiosa wychwalał, kazała mi “Amerykę-Echo” odmówić a tę nową gazetę zapisać.

— I wyście posłuchali?

— A cóż było z babą robić? Musiałem.

— No i zadowoleni jesteście z tej nowej gazety?

— Eee gdzie tam. Woląłem Paryskiego pisma, bo to, które teraz mam, ani się nie umyło do jego gazety.

— Więc zamienił stryjek, za siekierkę kijek. — Zawołał, śmiejąc się Jakub.

— Nie śmiejcie się Jakubie z Filipa — rzekł Maciej — bo on na tej zamianie zyskał.

— Jakto zyskał, kiedy sam powiada że z nowej gazety nie kontent.

— Tak, ale nie będzie potrzebował swojej babie kupować nowomodnych por-

tek, bo ona już widać w portkach chodzi, kiedy chłopu dyktuje jakie gazety ma utrzymywać.

— Cha, cha cha, lepiej wam teraz, Filipie? — zaczął się śmiać z zawstydzonego pantoflarza Jakób — Ale ten agent to także musiał być spryciarz, kiedy tak waszą objechał i wtrynił jej swoją gazetę, rugując pisma Paryskiego. A może gładki na gębie, i dlatego tak waszej przypadł do gustu

— E, nie śmiećcie się, bom zły a co do tego agenta, to tak nam obojgu głowę zawrócił, żeśmy poprostu zgłupieli. Jak zaczął wychwalać, że jego pismo unijne a Paryskiego nie, że jego pismo to najlepsza gazeta w Ameryce, tak i przewrócił nam w głowach.

— No ja się agentowi nie dziwię, bo biznes to jest biznesem. Chciał dostać abonenta to musiał swoje chwalić a cudze ganić. — rzekł Jakób. — To trudno, tego konkurencyja wymaga.

— Otóż w tem się mylicie, Jakóbie — przerwał Maciej. — Taki sposób zwalczania konkurentów jakiego użył ów agent jest nieuczciwym i poniża dotychczasę wydawnictwo. To nie konkuren-

cya, ale rabunek, a co najmniej pchanie się bezrogi w cudzy już uprawny ogród, podstępne korzystanie z cudzych zasiewów, podczas gdy całe obszary leżą odłogiem i czekają na uprawę i zasiew. Co gorsza to wstrętny egoizm, który kosztem już nie jednostki, ale pewnej części ogółu pragnie się z bogacić. Ten agent niecnota skrzywdził nietylko Paryskiego, rabując mu abonenta, ale skrzywdził i samego abonenta, to jest Filipa, bo dla zysku wmówił węń gorszy towar.

— Eee, bo wy to jakoś Macieju szeroko rozbieracie — przerwał Jakób — a to rzecz przecie całkiem naturalna. Co ten agent zrobił Paryskiemu, to znów Paryskiego agenci oddadzą mu pięknem za nadobne w innym miejscu i będzie kwita z byka za indyka.

— Nadnaturalnego nie ma w tem nic ale jest świństwo, a Paryski swoim agentom świństw raz na zawsze zakazał się dopuszczać.

— Co wy tam możecie wiedzieć, co on im tam nakazuje a co zakazuje.

— Właśnie że wiem, bo jak tu agent Paryskiego był u mnie ostatnim razem, to mi pokazywał i dawał czytać cały ka-

techizm przez Paryskiego ułożony i napisany dla jego agentów, i w tym to właśnie katechizmie stoi jak byk, że żadnemu agentowi nie wolno zdobywać abonentów oczernianiem i potępianiem innych gazet.

— To u licha jak taki agent może wyjść na swoje, kiedy mu nie wolno w jakikolwiek sposób starać się o kostumera.

— Wychodzi i to całkiem dobrze, bo nie ten robi biznes, kto gani cudzy towar, swój zachwalając, i szukając nań zbytu pomiędzy kostumerami konkurentów, ale ten, kto dla dobroci towaru znajdzie nań zbyt poza ciasnem kółkiem już wyrobionych przez innych odbiorców. Zresztą wydawnictwo pism i książek wielce się różni od innych biznesów.

— Ja tam nie widzę żadnej różnicy. Tak wydawca jak i inny biznesista patrzy tylko za tem, żeby grosz zarobić, żeby się zбогacić.

— Otóż w tem się mylicie. Jeśli wydawca ma jedynie na celu zбогacenie się, minął się z powołaniem, bo zadaniem każdego wydawnictwa powinno być szerzenie oświaty, a jeśli wydawca za olej do tych lamp szerzących światło, jakie-

mi są pisma i książki, każe sobie płacić wygórowane ceny, albo daje go w złym gatunku; jeśli nie stara się o rozpowszechnianie tych lapm tam, gdzie jeszcze panują ciemności, tylko pcha je w domy, w których świecą już lampki innych wydawnictw, rugując takowe podstępem i nieuczciwą konkurencją, wtedy mija się z powołaniem i nie jest wydawcą, apostołem oświaty, lecz prostym przekupniem, goniącym li tylko za groszem.

— Chodźno tu ojciec, mam ci coś powiedzieć — zawołała Maciejowa otwierając drzwi od kuchni, i kiwając na męża.

— Paryski taki dobry jak i inni — zaczął Filip, gdy Maciej powrócił z kuchni — Drukuje bibułę, pcha ją ludziom gdzie tylko może i łupi za nią pieniądze.

— Jak to rozumiecie “drukuje bibułę?”

— A no same senniki, bajdy i baśnie a zresztą jego gazeta taka sama jakinne gazety.

— Niekoniecznie, bo gdy inne gazety klóć się między sobą, ich redaktorzy i wydawcy wymyślają jeden drugiemu i za te wymyślenia każą sobie jeszcze ludziom płacić, to w Paryskiego gazecie tych wymyślań nie uświadczycie, bo on wie, że

jeśli czytelnicy płacą za gazetę, to chcą z niej mieć pożytek i rozrywkę a nie gorzyć się kłótniami. Co zaś do tych senników, bajd i różnych baśni to prawda że je Paryski także drukuje, ale wiecie czem one są dla czytelników? Oto tem samem, czem cukierki dla nieśmiałyh i dzikich dzieci. Paryski wie, że tymi cukierkami taki dzieciak, początkujący czytelnik, nie napasie się, to jest wie, że takie bajdy nie rozświecą jego umysłu, ale i to wie, że przy takim książkowym cukierku jego agent podsunie czytelnikowi i bułeczkę w postaci poważniejszej, pouczającej książeczki i że ten czytelnik ani się spostrzeże jak mu bajki zbrzydną i kiedy mu przyszedł apetyt na pożywniejszą strawę duchową.

— Owa, to mi sztuka; inni wydawcy to samo robią, więc nie zełgałem mówiąc, że wszyscy oni po jednych pieniądzach. Za te bułki — jak wy je nazywacie — każą sobie oni dobrze płacić.

— Nie zełgaliście aleście się pomylili. U innych wydawców książek poważniejszej treści prawie że nie dostanie a jeśli dostanie, to rzeczywiście trzeba za nie dobrze zapłacić, podczas gdy u Paryskiego takie książki dostanie za darmo, bo kto zapłaci za rok za "Amerykę-Echo," \$2.00

ten dostanie za dolara książek na premium i to takich książek, za jakie gdzieindziej ądają kilka a nawet kilkanaście dolarów

— A to mi ładne darmo, kiedy za gazetę trzeba dać aż dwa dolary. Lepiej żeby sobie Paryski swoje książki trzymał, nie dawał żadnych premii a za gazetę brał tylko dolara, ale widać, że on na tych książkach ma ogromne zarobki i dlatego wtyka je ludziom razem z gazetą. Jakby się komu książki zachciało, toby się sam po nią zgłosił do niego, a tak to on niejako ludzi zmusza do czytania, żeby się na nich bogacić.

— Prawdę mówicie, że to jest pewnego rodzaju przymus, ale na tym przymusie najlepiej wychodzą sami czytelnicy, bo za tanie pieniądze mają dobre książki i dobrą gazetę. Gdyby Paryski czekał ażby się komu książki zachciało, to nie miałby ani dziesiątej części takiego na nie odbytu jaki ma, musiałby ich mniej drukować a więc i więcej za nie żądać, bo sami to wiecie, że czem więcej towaru się produkuje, tem koszt produkcyi jest niższy, więc i towar tańszy, a jemu się właśnie o to rozchodzi, żeby jaknajwięcej ludzi czytało jego książki i gazetę.

— No o to samo pewnie i innym wydawcom także się rozchodzi, więc gdzież ta różnica pomiędzy Paryskim a jego współzawodnikami? Ja jej przynajmniej nie widzę.

— Ja ją wam wykażę i to nie jedną ale kilka, tylko słuchajcie cierpliwie.

Pierwszą różnicą pomiędzy Paryskim a innymi wydawcami gazet jest ta, że on współzawodniczy z nimi w sposób uczciwy. Paryski wie, że na dwu milionową ludność polską w Ameryce nawet dziesięć takich gazet jak jego za mało i starając się o nowych czytelników, nie szuka ich pomiędzy tymi, którzy już utrzymują jakie pismo, nie zdobywa, jak to już wam przed tem powiedziałem, abonentów kosztem innych wydawnictw, ale wyszukuje przez swoich agentów takich, którzy albo żadnej jeszcze gazety nie utrzymywali, albo zmieniają je co roku, nie mogąc trafić na dobrą, przypadającą im do gustu.

— No, co to, to już nie prawda, Chciałbym ja tylko mieć tyle dolarów, wiele Paryski odebrał abonentów innym gazetom.

— Tobyście się nie bardzo z bogacili. Co do mnie, tobym wolał mieć tyle bitych, wielu czytelników porzuciło inne gazety a zapisało "Amerykę-Echo."

— Nie kijem go to go pałką; przecież to na jedno wychodzi.

— O przepraszam, nie na jedno, bo co innego odebrać komuś kostumera czy to podstępem, czy namową, a co innego pozyskać go lepszym i tańszym to warem. Praryski nie ciągnie nikogo za kołnierz i nie mówi: rzuć tamto albo to pismo a zapisz moje, tylko powiada: masz tu na okaz moją gazetę, porównaj ją z innemi a jak ci lepiej przypadnie do gustu, to ją zapisz. Postępuje więc całkie uczciwie, podczas gdy inni nurują pomiędzy czytelnikami Paryskiego, obmawiając go i czerniąc, gdzie mogą starają się urwać mu abonentów.

— Hm, niby wasza prawda, ale powiedzcie mi, dlaczego to większość naszych ludzi woli "Amerykę-Echo," niż inne gazety?

— Dlaczego? Bo inne pisma wydawane są dla pewnych tylko odłamów polskiego ogółu, a "Ameryka-Echo" dla całego polskiego społeczeństwa w Ameryce; inne pisma bałamucą ten ogół — "Ameryka-Echo" poucza go i pisze tylko prawdę, przedstawia rzeczy tak jak są, a nie tak jak ten albo ów odłam, ta albo owa je-

dnostka chcieliby je przedstawić ogółowi.

— Ja was nie mogę zrozumieć, co wy za różnicę widzicie pomiędzy jednymi a drugimi gazetami.

— Widzicie, wydawnictwa gazet to jakby składy optyczne, z których każdy ma na sprzedaż okulary ze szklami odmiennych kolorów. I tak: Wydawcy patryotycznych pism sprzedają swoim odbiorcom okulary o szklach różowych i krzyczą: Patrzcie jaki to świat piękny, jak to wszystko widać różowo; noście tylko zawsze te nasze szkła a wszystko wam się wyda pięknem i nawet swoją ojczyznę utraconą przez nie zobaczycie. Socjaliści znów kładą na oczy swych czytelników szkła czarne, cały świat pokazują im pokryty kirem, zapewniając, że tylko oni są wstanie ten kir zedrzeć i przyoblec świat w weselszą barwę ale cały ogół w tej robocie musi im pomagać choćby przyszło cały porządek społeczny przewrócić do góry girami. no i ma się rozumieć na ten zbawienny niby to przewrót żądają od tego ogółu jaknajwięcej pieniędzy. Katolickie znów gazety a raczej księżę, to rodzaj końskich okularów. W nich nie ma wprawdzie szkieł żadnych, ale kto je zasadzi, musi tylko naprzód pa-

trzeć, i iść tam, gdzie go popędzą, bo przekupnie tymi okularami krzyczą: Patrz chłopie tylko naprzód, nicoglądaj się na boki, być broń Boże nie zobaczył nadużyć twoich przewodników, boby cię piekło nie minęło. Którędy pójdziesz i o czym, to mniejsza z tem, to nasza rzecz, choćby o głodzie i o chłodzie, byleś zaszedł do światłości wiekuistej; choćby przez drogę bąki cięły twą skórę i ssały twą krew, ty na to nie zważaj bo wszystko marność nad marnościami, wszystko głupstwo przeciwko wieczności.

— Cha, cha, cha. A toście ładnie te okulary przedstawili. Ale z jakimi to szklami Paryski sprzedaje okulary?

— W jego okularach jest czyste szkło. On krótko widzącym przedstawia rzeczy tak jak są, bo on rozumuje tak: Pan Bóg stworzył świat nie dla siebie, ale dla człowieka, a temu człowiekowi dał rozum, a dał mu go na to, żeby ten świat poznał a przez to samo i Stwórcę tego świata.

— Ba ktoby tam był w stanie poznać cały świat i wszystko co na nim kiedyś było i jest teraz; na to nie starczyłoby człowiekowi życia.

— Prawda, ale na poznanie tego całego świata składała się cała ludzkość od same-

go początku swego istnienia. Rozum ludzki szedł przebojem, krok za krokiem zdobywał wiedzę, wydzierał naturze jej tajemnice a zdobycze tej wiedzy przekazywał potomności w niezliczonej ilości książek z których my dziś bez wielkiego trudu i zachodu możemy i powinniśmy się oświecać.

— Ho, ho, ho; jakby człowiek chciał te wszystkie książki czytać co ludzie napisali, to choćby do szapu nie chodził i czytał dzień i noc a i tak by mu życia nie starczyło.

— Tak, to prawda, jak i to prawda, że nie każdy może być uczonym, bo nawet i uczeni wszystkich wiadomości jeszcze nie posiadli, ale każdy, kto tylko chce, może być oświeconym, bo oświata w codziennem życiu jest mu koniecznie potrzebną. Człowiek bez oświaty, to nieprzy mierzając jak ciemny, który bez pomocy drugich kroku nie może postąpić nawet we własnym domu. idąc po omacku, nieraz sobie guza nabije choć z czasem przyzwyczai się do swego kalectwa, jako tako potrafi się zorientować w swoim pomieszkaniu, to i tak ludzie złośliwi jak chcą, albo mu nogę podstawią że się wywróci, albo w inny jaki sposób go skrzywdzą.

I właśnie pomiędzy takimi to ludźmi Paryski rozpowszechnia swoje czyste okulary i woła do nich: Patrzcie na rzeczy jak są, a nie jak wam je kto przedstawia, rozglądajcie się na prawo i lewo, bo na to macie oczy ku patrzeniu. Patrzcie nietylko w górę ku niebu, ale i na ziemię, bo tę ziemię Pan Bóg dla was stworzył, bo nim pójdziecie do nieba, musicie na niej żyć, musicie się starać na to życie i dla siebie i dla swoich rodzin; a te starania łatwiej wam przyjdą, gdy będziecie oświeceni. Weźcie te moje okulary i przekonajcie się, że ten świat ani różowy, ani czarny, tylko taki jak go przez nie widzicie; że ci, którzy go wam inaczej przedstawiają, mają w tem swój własny interes, że was tylko bałamuca. Patrzcie dobrze przez moje okulary, żeby wam kto jakiej zawady, na której moglibyście się obalić, pod nogi nie rzucił; żeby wam kto podstępem nie wyciągnął waszej krwawicy z kieszeni, bo tu na złych ludziach w Ameryce nie zbywa, którzy tylko czyhają na to, jakby z ciemnoty korzystać.

Paryski mówi dalej, weźcie, moje okulary i porównajcie je z okularami moich konkurentów i wtedy wybierajcie, które lepsze. Konkurenci Paryskiego najwię-

cej się obawiają takich porównań i dlatego krzyczą w niebogłosy Broń Boże nie zawdzięčajcie ani na chwilę szkiele Paryskiego; poco wam to, kiedy macie nasze, kiedyście się już do nich przyzwyczaili.

Ale ten i ów, gdy mu Paryski przez swego agenta przyszele na próbę takie sprawiedliwe okulary, zawdzieje je, przejrzy, to jest przeczyta raz i drugi jego gazetę, przekonana się, że przez te okulary widzi wszystko wyraźniej i dokładniej, więc odrzuca precz te różowe, czarne albo końskie mamidła a kupuje raz na zawsze wierne szkła Paryskiego. Czyż więc tu wina Paryskiego, że te inne składy optyczne tracą kostumerów?

— A ktoby się tam z Wami dogadał. Obmyliści Paryski go na czysto. Ale możebycie mi jeszcze powiedzieli, dlaczego to Paryski jest przeciwnikiem unii?

— Paryski przeciwnikiem unij? A to znowu coś nowego. Ja to pierwszy raz od was słyszę.

— Ale ja już od niejednego to słyszałem.

— Żeście słyszeli, to możebne, bo Paryski ma wielu nieprzyjaciół, którzy w rozmaity sposób starają się mu szkodzić, ale że to nie prawda, to wam mogę zaręczyć, bo nie

od dziś czytuje jego gazetę i nigdy nie zauważyłem, żeby wystąpił przeciw unii.

Wiecie co, dziś już trochę przypóźno i zabrałoby mi wiele czasu omawiać stanowisko Paryskiego co do unii, ale zajdźcie do mnie jutro wieczorem a pogadamy i o tych uniach, bo mię to korci, że źli ludzie tak niesłusznie czernią człowieka, który jest najszczerzym przyjacielem robotników a więc i unistów.

— To i ja przyjdę także posłuchać — rzekł Jakób, — bo i mnie ta sprawa jako unistę interesuje. No, do widzenia, do jutra.

— Mówiliście wczoraj Macieju, że nie zauważyliście nigdy, żeby Paryskiego gazeta występowała kiedykolwiek przeciwko uniom i to wam wierzę, bo sądząc z tego, co słyszę o Paryskim, musi to być cwana sztuka a jako taki wie, że gdyby w swem piśmie występował przeciw uniom robotniczym, to tem samem naraziłby sobie robotników, a więc szkodziłby samemu sobie a raczej swemu biznesowi, boć jego gazetę przeważnie utrzymują robotnicy. To jednak nie dowód, żeby sprzyjał uniom, bo gdyby tak było, to i sam zatrudniałby unistów w swojej drukarni i w swoim

piśmie namawiałby czytelników dołączenia się z organizacjami robotniczymi, a on tego nie czyni; co najwyżej zamieści wiadomość, że tu lub ówdzie wybuchł strajk z takiego a takiego powodu i to wszystko. Słyszałem, że dawniej, kiedy dopiero zaczął wydawać gazetę, to nie tylko w niej ale osobiście po mityngach gardłował za organizacjami robotniczymi i namawiał robotników do łączenia się w unie. Dopiero jak porósł w pierze, schował dudy w miech i ledwie półgębkiem bąknął coś kiedyś niekiedyś o uniach. Możeby je i wręcz potępił, gdyby się nie obawiał narazić czy telnikom a tem samem i stracić abonentów. Ot nie macie go co bronić, bo taki on dobry, jak i inni przedsiębiorcy.

— A właśnie, że muszę stanąć w jego obronie. Krzywdę mu wyrządza, robiąc mu podobne zarzuty i porównując go z innymi przedsiębiorcami, podczas gdy on przedsiębiorcą wyzyskiwaczem nie jest.

— Nie jest? Więc czemu jest u licha? Czy to nie zatrudnia jak inni fabrykanci masy robotników i nie dorabia się ich pracą?

— Tak, ale jest tylko fabrykantem pra-

codawcą, a nie fabrykantem wyzyskiwaczem, a to wielka różnica.

— Ja nie widzę żadnej.

— Ale ja widzę i wam ją zaraz wykażę. Fabrykant wyzyskiwacz stara się ze swego przedsiębiorstwa, czyli fabryki, wyciągnąć jak największe zyski, to jest wyprodukować jak największą ilość towaru, jak najniższym kosztem a więc z krzywdą robotnika a równocześnie towar ten usiłuje sprzedać za jak najwyższą cenę, zdzierając znów odbiorców. Paryski zaś nie jest takim fabrykantem, bo jak to wam już wczoraj powiedziałem, on pracuje nie dla siebie, ale dla całego polskiego społeczeństwa w Ameryce, zysków nie chowa do banku, ale dzieli się z niemi ze swoimi odbiorcami, bo nie tylko że im daje coraz to nowy towar, to jest coraz to nowe książki i większą niemal z każdym rokiem gazetę, ale daje im go tanio. Co zaś do robotników, to nie dzieje im się krzywda u Paryskiego, bo im płaci tyle, wiele ich praca jest warta. To samo przed kilku dniami powiedziałem agentowi jakiejś socjalistycznej gazety, który tu był u mnie i wieszał psy na Paryskiego, zarzucając mu, że wyzyskuje swoich robotników. Widzicie więc, że jest różnica pomiędzy Paryskim a innymi fabrykantami.

Jest nawet różnica pomiędzy nim a wydawcami socjalistycznych gazet, bo ci choć chwalą się, że płacą swym robotnikom unijne ceny, ale zapominają dodać, że te ceny figurują po największej części tylko jako obietnice; w rzeczywistości ich pracownicy częścią płacy muszą uzupełniać ideę socjalistyczną, za którą nawet free lunchu w salonie nie dostanie, bo i do free lunchu trzeba iść na piwo.

— Bądź co bądź, żeby Paryski był przyjacielem robotników, toby popierał organizacje robotnicze a on tego nie czyni, owszem, gdy przed mniej więcej półtora rokiem jego agenci zorganizowali się i założyli unię, to, jak czytałem w gazetach, on zamiast uznać ich organizację, napadał na nią w swoim piśmie i starał się ją rozbić. Bał się, że mu narobią truble i zarządzają większego komisowego.

— A to wam się o tę unię rozchodzi?

— Nie tylko o tę, ale i o wszystkie unie robotnicze wogóle, które każda zuchciwa gazeta popierać powinna.

— Wy Filipie, o tej unii agentów Paryskiego czytaliście w innych gazetach i to takich, które — jak to mówią — radeby Paryskiego w łyżce wody utopić. Znacie więc całą sprawę tylko z jednej strony i to

z tej, która Paryskiego przedstawia w złem świetle. Nie dziwię się więc, że bierzecie w obronę rzekomo pokrzywdzonych agentów, ale ja znam tę sprawę lepiej i to wam powiem, że to nie była unia agentów, tylko unia złodziei a raczej organizatorami jej byli złodzieje, którzy okradłszy Paryskiego na kilka tysięcy dolarów w książkach i kwitach, jeszcze mu po tem unię założyli. No i czy on taką unię miał uznać i popierać. Tak samo ma się rzecz i z innymi wielu uniami.

— Jak to tak samo? To inne unie według was są także złodziejskimi uniami? Tego się po was Macieju nie spodziewałem, że byście tak znieważali wszystkich zorganizowanych robotników, nazywając ich złodziejami.

— Pomału, pomału Filipie, nie szarpicie się i słuchajcie co dalej powiem, a przekonacie się, że nie mam zamiaru ubliżać robotnikom, tylko chcę napiętnować tych, którzy w nieuczciwy sposób ciągną zyski z walki kapitału z pracą, a takich niestety jest bardzo wielu.

Powiedzieliście sami, że Paryski zacząwszy wydawać swą gazetę, był szczerym zwolennikiem zorganizowanej pracy, że popierał ją nietylko pismem, alei żywym

słowem. I to prawda, bo i sam o tem sły-
szałem, ale czem ta zorganizowana praca
była przed laty, tem nie jest już dziś.

— Ecee, bajecie. Unie jak były, tak są,
jeszcze jest ich więcej i silniejsze. Nic się
w nich nie zmieniło, tylko Paryski się
zmienił i teraz mu nie do honoru mieć
spicze na robotniczych mityngach albo
rozpisywać się w gazecie o jakichś tam u-
niach.

— Przeciwnie Filipie. Paryski żywi dla
unii te same sympatyje jakie żywił dawniej,
tylko że w wielu z tych unii zaszły wielkie
zmiany i to takie, które muszą do nich
zrazić każdego uczciwego człowieka, bo te
unie zamiast być bronią przeciw wyzysko-
wi kapitalizmu, stały się dojną krową dla
niesumiennej ich agentów i organizato-
rów.

— Mój Macieju, przecież nie możecie
wymagać, żeby urzędnicy wielkich orga-
nizacyj robotniczych poświęcali swój czas
i pracowali dla tych organizacyi za darmo.
Kto kościołowi służy, ten słuszna żeby i
żył z kościoła, więc te pensye jakie robo-
tnicy płacą swoim przywódzcom słusznie
im się należą i rzetelnie są zarobione.

— Tu nie ma mowy o pensyach. Tu roz-
chodzi się o co innego. Pensye organizato-

rów i wogóle wyższych urzędników unijnych, to zarobki uczciwe. Ja tu chcę mówić o nieuczciwych zyskach, jakie mają niektórzy przywódcy unijni.

— Ja nic nie wiem o takich zyskach.

— Cobyście nie wiedzieli, kiedy o tem nieraz różne gazety pisały. Przed laty na czele unij stali ludzie uczciwi, pracujący z całym poświęceniem i zaparciem się dla sprawy robotniczej i wtedy unie były groźne dla kapitalistów. Przekupstwem nie mogli oni nic zdziałać, bo jednostki stojące na czele unij przekupić się nie dały a wszystkich robotników dotyczącej unij przekupić, znaczyło tyle, co zgodzić się na dyktowane przez nich warunki. Jeśli gdzie wybuchł strajk, to z rzeczywistej potrzeby. Z czasem do unij zaczęły napływać różne męty. Sami kapitaliści nasyłali do szeregów z organizowanych robotników ludzi sobie oddanych, albo starali się pozyskać ludzi słabszego charakteru. Udawało im się to często, udaje im się i teraz jeszcze. Na czele wielu organizacyj robotniczych stoją zdrajcy, którzy na każde zawołanie kapitalisty fabrykanta wywołują strajk, zaprzędają poprostu całą organizację.

— E głupstwo, fabrykanci boją się strajku jak ognia, więc który z nich chciałby go

wywoływać a tem bardziej jeszcze płacić za jego wywołanie.

— O, Filipie; strajk jest czasem bardzo na rękę czy to kontraktorowi czy fabrykantowi, czy właścicielowi kopalni. Ma się ochotę podnieść cenę, dajmy na to, węgla a jest go znaczny zapas, to strajk w takich wypadkach bardzo na rękę. Wsunie się w łapę agentowi dotyczącej unii pewną sumkę i strajk gotów a no i pozór do podwyższenia ceny za węgiel. Powód do strajku zawsze się znajdzie, a przez czas jego trwania nie trzeba płacić robotnikom. Chce się zgnębić swego współzawodnika kontraktora, zwłaszcza jeśli ten ma jaką terminową pracę do wykończenia, cóż lepszego jak nie strajk? Usłużny zdrajca unijny wnet go wywoła za pewnem wynagrodzeniem, współzawodnik poniesie stratę albo i zbankrutuje, ten zaś, któremu strajk na rękę, ma jeszcze i tę korzyść, że może łatwiej dostać dla siebie robotnika. Grozi znów któremu fabrykantowi strajk, to łatwiej go zażegnać a przynajmniej odwlec na jakiś czas, dopóki czy to pewna robota nie zostanie wykończoną, czy też dostateczny zapas towarów nie wyprodukowany, jeśli się ma do czynienia z jedną sprzedajną i sobie oddaną jednostką niż z

całym ogółem. Że takie nieuczciwe manipulacje szkodzą nietylko dotyczącej unii ale i całemu społeczeństwu, cóż to takiego zaprzedańca obchodzi; on przecie nie na to wstąpił do unii, żeby działać dla jej dobra, on ma swoje dobro na celu, a jakich środków do tego użyje, to mniejsza z tem.

— Nie we wszystkich uniach przecie tak się dzieje więc nie można wszystkie unie potępiać.

— Ja też je wszystkie nie potępiam, choć wszystkim miałbym to do zarzucenia, że żądając od swych członków solidarności, ograniczając ich wolność zarobkowania, ściągając od nich podatek, nie dają im gwarancji pracy.

— Jak to rozumiecie?

— Tak rozumię, że jeśli ktoś mówi mi iż nie wolno mi pracować taniej w tej lub owej gałęzi pracy jak za dwa dajmy na to dolary dziennie i to nie dłużej jak ośm godzin dziennie, że mam płacić tyle a tyle podatku miesięcznego do unii, to niechże ten ktoś postara się o to, żebym ja miał tę pracę na dwa dolary dziennie i niech mię nie nazywa skiebem i nie odsądza od czci i wiary jeśli ja pracuję za dolar siedemdziesiąt pięć albo pracuję dziewięć zamiast ośm godzin na dzień, nie mogąc

dostać tyle, wiele on mi przepisuje, bo z czegoż ja żyć będę i z czego ten podatek miesięczny do unii zapłacę?

— A w tem jest właśnie sęk, bo gdyby nie było skiebow i gdyby wszyscy robotnicy należeli do unii, to wszyscy braliby jednakową płacę.

— Tak, ale czy wszyscy mieliby pracę? Znam jednego murarza, który należy do unii a choć dobry murarz, przecie pracy dostać nie może, bo go zawsze ubiegnie jakiś czy to krewniak czy znajomy którego z urzędników unii murarzy. Do nieunijnych kontraktorów nie pójdzie, bo i tam murarzy pełno, a zresztą przepisy unii mu na to nie pozwalają. Trafiła się biedakowi plajstrówka, ale ledwie zaczął pracować, kazano mu się wynosić, bo on unijny murarz a nie plajściarz. No i powiedzcie, za co ten biedak płaci podatek do unii i jaką z niej ma korzyść?

— Jest unistą, więc choć na razie nie ma pracy i, jak powiadacie, nie ma korzyści z unii, ale jak raz dostanie pracę unijną a więc i dobrą płacę, to się podreperuje i odbije to, co zmitrężył.

— Tak, ale nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje. Zresztą czy wy sądzicie, że wyso-

kość zarobków jest skalą dobrobytu robotnika?

— Pewnie, że tak, bo czem człowiek więcej zarobi, tem więcej ma.

— Ej gdzie tam. Moje zapatrywanie jest inne, a jakie, zaraz wam powiem, tylko czekajcie niech sobie fajkę nałożę.

— Skala płacy robotnika, nie jest skalą jego dobrobytu, tylko ceny, jakie płaci za wszelkie potrzebne do życia artykuły — zaczął Maciej, załatwiwszy się z fajką. — Cóż bowiem pomoże robotnikowi, gdy będzie zarabiał wiele, jeśli wiele musi wydawać na swe i swej rodziny utrzymanie. Sami to pamiętacie, że przed kilkunastu laty zarobki w Ameryce były mniejsze, ale też i życie było tańsze. Dziś prawie we wszystkich gałęziach pracy płacę podwyższono, a czy przez to polepszył się byt robotnika? Nie, bo tak samo, jak pierwiej, to, co zarobi, musi wydać na utrzymanie i z biedą tylko może coś niecoś odłożyć na czarną, jak to mówią, godzinę.

— To prawda, ale któż winien tej, coraz bardziej wzrastającej drożyznie, jak nie trusty fabrykantów, którzy w zмовie z sobą, na każdej rzeczy podwyższyli ceny i spowodowali drożyznę, jaka obecnie panuje?

— Macie rację, że tej drożyznie winne trusty, ale nie same tylko trusty fabrykantów i kapitalistów; część winy leży i po stronie trustów pracy, tj. unij, bo i one pośrednio przyczyniły się do podniesienia cen produktów.

— Jakto trustów pracy? To wy unie nazywacie trustami?

— A czyż nimi nie są? Czyż zorganizowana praca nie jest tem samem, co zorganizowany kapitał? Pomiędzy nimi ta tylko różnica, że podczas gdy pierwsi łączą się w celu zbytu produktów po możliwie najwyższej cenie, choćby ze szkodą ogółu, drudzy łącznie starają się o możliwie najwyższą cenę za swój towar, tj. za pracę, bo praca nie jest niczem innem jak tylko towarem, sprzedawanym przez robotników fabrykantom. Tylko ten towar mierzy się nie na buszle, yardy, funty lub duce, ale na godziny, a o ile on droższy, o tyle droższym musi być wszelki produkt, bo koszta produkcji muszą wpływać na cenę produkcji.

— Dziwię się Macieju, że wy, sam będąc robotnikiem, trzymacie stronę kapitalistów i fabrykantów i zgryźliwie wyrażacie się o uniach. Przecież żeby nie unie, to fabrykanci zupełnie zawładnęliby robotni-

kami i zamienili ich w swoich niewolników, z pogwałceniem wszelkich praw, które nawiasem powiedziałem, i tak gdzie mogą, to gwałcą.

— Z fabrykantami nie trzymam, ani nie mam uprzedzenia do unij Sądząc jednak rzecz bezstronnie, w uniach nie widzę zbawienia dla klasy robotniczej. Co zaś do gwałcenia praw przez fabrykantów i kapitalistów, to nie przeczę, że te często mają miejsce, ale i unie pod tym względem nie są bez zarzutu. Nie od dziś, ani od wczoraj jesteście Filipie w Ameryce, i zapewne pamiętacie historię niejednego strajku....

— Ho, ho, pamiętam dobrze co się to nie działo i w Carnegie i w Bay View, koło Milwaukee i w Latimer i w innych miejscowościach, gdzie fabrykanci kazali swoim posiepakom mordować bezbronnych robotników, za to tylko, że się upominali o większą płacę albo o zmniejszenie godzin roboczych.

— Tak, ale musicie również pamiętać i te różne zamachy dynamitowe, wykonane przez unistów, te bójki ze skebami, niszczenie fabryk i własności fabrykantów,

i inne nadużycia, jakich dopuszczali się uniści.

— A cóż mieli robić? Musieli się bronić we wszelki możliwy sposób. Jak walka, to walka. Nie mogli przecież pozwolić, żeby łamistrajki zajmowali ich miejsca i pozbawiali ich tym sposobem chleba.

— Jabył takiego postępowania nie nazywał walką, ale zbrodnią.

— Niechby i zbrodnią. Zbrodni dopuszczali się fabrykanci, krzywdząc robotników, to i im wolno było odpowiedzieć zbrodnią na zbrodnię.

— Nie, bo żadna zbrodnia nie może być usprawiedliwioną, bez względu na pobudki, z jakich została dokonaną. Teroryzm nie jest środkiem rozstrzygającym kwestyę kapitału i pracy, bo jest nie legalnym, przeciwnym prawom ludzkim i boskim; jest poprostu wstrętnym i nigdy nie osiąga celu. Zaostrza tylko stosunki pomiędzy obu walczącemi stronami a co gorsza, całemu społeczeństwu przynosi szkodę. Unie, chwytając się terroru, same sobie szkodzą, bo tracą sympatyę ogółu.

— A to może mają stać z założonemi rękami i patrzeć, jak podczas strajku pakują

się im do fabryk całe gromady skebów, którzy nie chcą się łączyć z nimi razem do walki o przynależne robotnikom prawa? Dobrze uniści robią, że takim skebom skórę trzepią, bo gdyby nie oni, to fabrykanci musieliby tak tańczyć, jak im robotnicy zagrają. Wtedy dopiero robotnik byłby górą. Wtedy dopiero miałby się dobrze, bo dostałby tyle, ile rzeczywiście za swoją pracę dostać powinien, a fabrykant nie tuczyłby się jego krwią i potem.

— Ej, filipie, widzę, że nauczyliście się na pamięć tych frazesów o tuczeniu się fabrykantów krwią i potem robotnika i powtarzacie je jak za panią matką. Gdybyście głębiej zajrzeli w całą sprawę, to musielibyście przyznać, że ma ona i odwrotną stronę medalu, która zupełnie inaczej wygląda. Fachowy, uzdolniony robotnik prawie nigdy nie narzeka ani na brak pracy, ani na niskie wynagrodzenie. Taki robotnik nie potrzebuje chodzić od szapu do szapu, jak domokrażca z towarem, bo fabrykant sam przyjdzie do niego, jak kostumer do sklepu znanego z dobroci towarów i sam ofiaruje mu pracę, dając wysoką płacę. Dlaczego? Bo to leży w jego interesie. Fabrykant wie, że lepiej zarobi na zdolnym robotniku, choć mu wię-

cej zapłaci, niż na lichym, pracującym za niską cenę. Robotnika światłego, inteligentnego nie potrzeba popychać z miejsca na miejsce, wołać nań: idź tam, zrób to lub owo, bo on sam orientuje się szybko, sam sobie daje radę, sam jest głową i rękami, więc też może mieć słuszne pretensye do zapłaty za głowę i za ręce. Takich uświadomionych, inteligentnych robotników, szczególnie między nami Polakami, jest jeszcze mało, a ci, którzy są, z pewnością nie narzekają na lichą płacę. Co zaś do skebów, nie przeczę, że źle robią zajmując miejsca strajkierów, ale to jeszcze nie racya, żeby ich pałkami naganiać do szeregów unijnych, albo mordować dla tego, że starają się o chleb tam, gdzie go mogą dostać. Takie walki unistów ze skebami, to walki zwierząt.

— Więc z tego, co Macieju mówicie wynika, że zorganizowana praca nie wywalczy przynależnych robotnikom praw. A przecież oni muszą kiedyś być na wierzchu, muszą zwalczyć kapitalizm i trusty fabryczne, rozchodzi się tylko o to kiedy.

— Żleście się Filipie wyrazili, że robotnicy muszą być na wierzchu, bo gdyby tak kiedyś było, to znowu byłoby źle, gdyż

ten, kto na wierzchu, już samem prawem ciężkości ugniata tego pod spodem, więc czyni mu krzywdę; każda zaś krzywda jest występkiem, niesprawiedliwością, a każda niesprawiedliwość prędzej lub później odbija się na wyrządzającym ją. Celem robotników powinno więc być nie wybicie się ponad fabrykantów i kapitalistów, bo i wtedy jeszcze, będąc ciemnymi, kto wie, czy potrafiliby utrzymać się na wierzchu i korzystać z odniesionego zwyczajtwa, ale zajęcie w społeczeństwie takiego miejsca, jakie im się należy. Tego zaś miejsca nie wywalczą im unie same; — dźwignią, która ich na to miejsce wzniesie, jest oświata. Przejrzyjmy historycę, a zobaczymy różnicę pomiędzy stanowiskiem robotnika przed wiekami a teraz. Niewolnictwo, poddaństwo, sankcyonowane swego czasu nawet przez religię, zniosła tylko oświata i ona to wnikając coraz bardziej w szeregi robotnicze, przemienia dawnego niewolnika, dawne narzędzie, w świadomego swych praw człowieka. Robotnik światły, inteligentny, weźmie u-

dział w zarządzie krajem, a tem samem nie pozwoli sobie krzywdy uczynić, bo się zabezpieczy przed nią prawami, które będzie stanowił. Weźcie-no tylko Australię. Tam pomiędzy fabrykantami a robotnikami niema sporów, niema strajków. Dlaczego? Bo tam światły robotnik, biorąc czynny udział w ustawodawstwie, prawami zabezpieczył się przed wyzyskiem fabrykanta, a ten znów, w razie wygórowanych żądań ze strony robotnika, oddaje sprawę do rozstrzygnięcia sądowni, i to sądowni, bezstronnemu, bo złożonemu porówniz członków stron obu. Wyrok tego sądu jest decydującym, bez apelacyi — obie strony muszą się nań zgodzić — więc strajki i rozruchy robotnicze są tam nieznanne. Tam nie stoi fabrykant nad robotnikiem, ani robotnik nad fabrykantem; każdy stoi na swoim miejscu i każdemu z tem dobrze.

A do wytworzenia takich stosunków nie przyczyniły się ani unie, ani strajki, tylko oświata. Robotnik australski przez oświa-

tę wziął udział w ustawodawstwie a tem samem zajął stanowisko jakie mu się należy. Takiego stanowiska pragnie Paryski i dla robotnika amerykańskiego i dlatego to wszelkimi siłami szerzy pomiędzy robotnikami oświatę, rozpowszechniając swoją gazetę i masę popularnych a pouczających książek.

— Nasłuchałem się od was dosyć i tu u was i u Kaspra o tej Paryskiego gazecie, a z tego, coście mówili, wypadaloby sądzić, że to najlepsze pismo w świecie, najżywcze i najprzychylniejsze naszemu ludowi. Tym czasem tak nie jest, bo gdyby Paryski tak dbał o dobro tego ludu, jak się wysławia, to nie pomijałby milczeniem nadużyć różnych księży, jakich się dopuszczają, ale rąbałby ich na funty, tak, jak czynią inne gazety.

— Mój Filipie, łońskiego roku ukradli wam złodzieje cztery kaczki z niezamkniętego chlewa, no i choć wysledziliście złodzieja i zasadzili go do kozy, nawymyślawszy mu porządnie, kaczki przepadły, bo je lajdak zjadł. Gdybyście byli chlew za-

mykali, to nie ponieślibyście byli szkody, nie potrzebowali włóczyć się po sądach i drzeć gardła na złodzieja, wymyślając mu. Paryski, wiecie w swoim piśmie nie krzyczy za nikim "łapaj złodzieja," bo wie, że jak już złodziej ukradł, to choćby go się i udało złapać i odebrać skradzioną rzecz, zawsze to kłopot i zgorwienie. On krzyczy ciągle; "strzeż się przed złodziejem," zamykaj dobrze twój dom i pilnuj gospodarstwa, a nie poniesiesz szkody." I on sprzedaje ludziom takie zamki, które z pewnością uchronią ich od szkody, a tymi zamkami to jego gazeta i książki. On nie wymyśla księżom w gazecie za złą gospodarkę parafialną, bo wie, że takie wymyślenia złych księży nie naprawią, a ludzi tylko zgorszą. On tylko ludzi poucza jak mają się wystrzegać nietylko złych gospodarzy parafialnych, ale wogóle wszystkich na ciągaczy i łapichłopów i woli kłaść im w uszy: "zamykaj stajnię, bo ci konia ukradną," jak wołać: "łapaj złodzieja, bo ci już konia ukradł." Gdyby lud pilnie czytał

Paryskiego gazetę, toby się nie dał nikomu, choćby nawet i księżom, wyzyskiwać, a gdyby nie było kogo wyzyskiwać, to tem samem musiałyby braknąć wyzyskiwaczy. Kto się lubuje w czytaniu opisów różnych skandali i skandalików, jakich dopuszczają się czy to księża, czy to świeccy ludzie, ten niech sobie zapisze jakie rewolwerowe pisemko, które takimi brudnymi sprawami się zajmuje i ma patent na wymyślania. "Ameryka-Echo," nikomu nie schlebia ale też nikomu nie wymyśla. Pi-sze prawdę o każdym, i to właśnie zamiłowanie prawdy zjednało jej mnóstwo czytelników. "Ameryka-Echo" nie jest ani dla unistów, ani dla księży, biznesistów, Związkowców, Zjednoczeńców, lub socy-
listów ale jest dla wszystkich, popiera wszystko, co uczciwe, bez względu na obozy lub partye, a jej celem to oświata całego pol-
skiego społeczeństwa i do tego celu dąży wytrwale, pomimo stawianych jej przez za-
wistnych przeszkód od dwudziestu pięciu lat. "Ameryka-Echo," wzięła sobie za

zadanie leczenie wrzodów na ciele naszego społeczeństwa nie środkiem gwałtownym— nożem zjadliwej krytyki i wymyślań —ale środkiem łagodzącym i zwolna, ale pewnie usuwającym wszelkie dolegliwości społeczne, a tym środkiem jest tylko—oświata.





911
482

J. DeGruyter
481, 482, 483, 484, 485, 486, 487, 488, 489, 490, 491, 492, 493, 494, 495, 496, 497, 498, 499, 500, 501, 502, 503, 504, 505, 506, 507, 508, 509, 510, 511, 512, 513, 514, 515, 516, 517, 518, 519, 520, 521, 522, 523, 524, 525, 526, 527, 528, 529, 530, 531, 532, 533, 534, 535, 536, 537, 538, 539, 540, 541, 542, 543, 544, 545, 546, 547, 548, 549, 550, 551, 552, 553, 554, 555, 556, 557, 558, 559, 560, 561, 562, 563, 564, 565, 566, 567, 568, 569, 570, 571, 572, 573, 574, 575, 576, 577, 578, 579, 580, 581, 582, 583, 584, 585, 586, 587, 588, 589, 590, 591, 592, 593, 594, 595, 596, 597, 598, 599, 600, 601, 602, 603, 604, 605, 606, 607, 608, 609, 610, 611, 612, 613, 614, 615, 616, 617, 618, 619, 620, 621, 622, 623, 624, 625, 626, 627, 628, 629, 630, 631, 632, 633, 634, 635, 636, 637, 638, 639, 640, 641, 642, 643, 644, 645, 646, 647, 648, 649, 650, 651, 652, 653, 654, 655, 656, 657, 658, 659, 660, 661, 662, 663, 664, 665, 666, 667, 668, 669, 670, 671, 672, 673, 674, 675, 676, 677, 678, 679, 680, 681, 682, 683, 684, 685, 686, 687, 688, 689, 690, 691, 692, 693, 694, 695, 696, 697, 698, 699, 700, 701, 702, 703, 704, 705, 706, 707, 708, 709, 710, 711, 712, 713, 714, 715, 716, 717, 718, 719, 720, 721, 722, 723, 724, 725, 726, 727, 728, 729, 730, 731, 732, 733, 734, 735, 736, 737, 738, 739, 740, 741, 742, 743, 744, 745, 746, 747, 748, 749, 750, 751, 752, 753, 754, 755, 756, 757, 758, 759, 760, 761, 762, 763, 764, 765, 766, 767, 768, 769, 770, 771, 772, 773, 774, 775, 776, 777, 778, 779, 780, 781, 782, 783, 784, 785, 786, 787, 788, 789, 790, 791, 792, 793, 794, 795, 796, 797, 798, 799, 800, 801, 802, 803, 804, 805, 806, 807, 808, 809, 810, 811, 812, 813, 814, 815, 816, 817, 818, 819, 820, 821, 822, 823, 824, 825, 826, 827, 828, 829, 830, 831, 832, 833, 834, 835, 836, 837, 838, 839, 840, 841, 842, 843, 844, 845, 846, 847, 848, 849, 850, 851, 852, 853, 854, 855, 856, 857, 858, 859, 860, 861, 862, 863, 864, 865, 866, 867, 868, 869, 870, 871, 872, 873, 874, 875, 876, 877, 878, 879, 880, 881, 882, 883, 884, 885, 886, 887, 888, 889, 890, 891, 892, 893, 894, 895, 896, 897, 898, 899, 900, 901, 902, 903, 904, 905, 906, 907, 908, 909, 910, 911, 912, 913, 914, 915, 916, 917, 918, 919, 920, 921, 922, 923, 924, 925, 926, 927, 928, 929, 930, 931, 932, 933, 934, 935, 936, 937, 938, 939, 940, 941, 942, 943, 944, 945, 946, 947, 948, 949, 950, 951, 952, 953, 954, 955, 956, 957, 958, 959, 960, 961, 962, 963, 964, 965, 966, 967, 968, 969, 970, 971, 972, 973, 974, 975, 976, 977, 978, 979, 980, 981, 982, 983, 984, 985, 986, 987, 988, 989, 990, 991, 992, 993, 994, 995, 996, 997, 998, 999, 1000

18. VIII. 1942.